Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI Warszawa, 7 sierpnia 1955 r. Nr 31 (505)

CV 9013

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

KANADA W MGNIENIU OKA (1)

NA oswajanie się z myślą o tym tygodniowym wypadzie za Atlantyk nie było wiele czasu. Nie wiem jak Jarosław Ładosz, ale ja w każdym razie, dopiero gdzieś między Darłowem a Bornholmem poddałem się melancholijnej kontemplacji nad otchłanią własnej niewiedzy. Ontario, nazwa jeziora i prowincji, gdzie miał się odbyć młodzieżowy festiwal, budziło jakieś odległe wspomnienia z lektury „Wodnej lilii" i „Orlego Szponu". Znajomość angielskiego alfabetu i nader murzyńskiej francuszczyzny nie działała ośmielająco. Geografia... ach, z nią byłem zawsze na bakier. Ale ostatecznie decyduje kąt patrzenia. Nie ma lądów i mórz raz na zawsze odkrytych. Gdyby nie podświadome przeświadczenie, że każdy z nas, miłośników wycieczek, jest Kolumbem, zanikłyby towarzystwa turystyczne, a do Zakopanego wyjeżdżalibyśmy tylko służbowo, bo.., tam już był Chałubiński.

Poczucie wyjątkowości sytuacji dodatkowo zostało wsparte przez uwagę zasłyszaną w Biurze Festiwalu, że jesteśmy pierwszą od dziesięciu lat delegacją młodzieży z krajów socjalistycznych, udającą się do Kanady. Zaczynałem rozumieć, określaną przez Lichniaka, jako „harcerską" — chełpliwość Żukrowskiego po raidzie do Wietnamu i przed wymarszem do Tybetu.

Nasz szlak wiódł przez Kopenhagę, Amsterdam, Londyn, skąd miał nastąpić skok przez ocean. Gdyby nie pas przytwierdzający mnie do fotela, skakałbym z uciechy.

Żona holenderskiego dyplomaty, siedząca obok mnie, stanowczo nie umiała korzystać z uprzywilejowanego miejsca przy oknie. W ogóle pech chciał, że aż do Montrealu, pragnąc widzieć cokolwiek, musiałem stale balansować nad czyimś ramieniem. Dopiero w drodze powrotnej mój nos nie rozstawał się z szybą. Narazie, pozbawiony łatwego kontaktu z pejzażem, zabawiałem się identyfikowaniem pasażerów. Nie zawsze czyniłem to trafnie. Oto na przykład cztery stare kobieciny ubrane na czarno, rozpoznane jako chłopki z Kielecczyzny, w Londynie okazały się Macedonkami, pielgrzymującymi do krewnych w Quebecu. Natomiast musiał być brytyjskim handlowcem starszy pan, rozwiązujący szarady szachowe także wtedy, gdy obłoczna fantazja rozsnuta nad Bornholmem zdołała nawet przedstawicielkę niderlandzkiego beau monde'u oderwać od studiowania połysku na długich, krwawo lakierowanych paznokciach.

Jako nowicjusz jeszcze nie przenikałem wyrafinowanego znaczenia podawanych w samolocie posiłków. Z apetytem pochłaniałem śniadanie złożone z herbaty, plasterków bułki, polędwicy i sera, keksów, truskawek oraz dwóch kieliszków koniaku. Stewardessa „Lotu" zgodnie z tym, co już w „Słowie Powszechnym" relacjonował Wojtek Kętrzyński, swoim serdecznym przejęciem się naszym samopoczuciem, z niewymuszonym wdziękiem konstruowała nastrój zadowolonej wyłączności w każdym, choćby najskromniejszym z pasażerów.

Zerknąłem za szybę. Gdyby nie pojawiające się od czasu do czasu pierzaste obłoki, które przekonywały o ruchu, zdawać się mogło, że samolot, jak mucha w bursztynie, zastygł w przestrzeni wypełniającej niebiesko - szklane, kopulaste naczynie. Granica styku nieba z Bałtykiem była całkiem nieuchwytna w tej odwróconej do góry dnem misie, lepionej światłem z wody i powietrza.

TAMTEN ŚWIAT

PRZENIKLIWY ból w uszach sygnalizował, że schodzimy w dół. Z piorunującą szybkością samolot spadał ku morzu, przy którym tuż obok rozpostarło się kopenhaskie lotnisko. Jak gdyby ostatnim wysiłkiem zwalniającego obroty śmigła, maszyna rzuciła się wprzód, żeby po chwili drapać pośpiesznie popielatą taśmę betonu. Znajdowaliśmy się w dowolnym punkcie schludnego ula. Bezczelnie startujących i nadlatujących samolotów czyniło zupełnie bezszelestnym przesuwanie mikroskopijnych wagoników mknących tu i tam z bagażem. „Na domach popielniczki, okna zapinane na guziczki... Ulicami ubrane ładnie, w kostiumach à la Ghirlandajo, jeżdżą sprzątaczki i jak kropla deszczu spadnie to one ją zaraz wycierają..." — przytaknąłby Gałczyński. Lniane, odprasowane dziewczyny z personelu lotniczego dworca — wiodą nas do zachwycającego architektonicznie hallu strefy wolnocłowej. W tej kosmopolitycznej oranżerii pozostają kaczeńcami wśród storczyków, duńskimi wieśniaczkami, których nie dotyczą lustrzane gabloty z biżuterią i nęcącymi okładkami kolorowych książek, automaty wydmuchujące nylony po połknięciu srebrnej monety, ani jaskrawe stroje, przeważnie sędziwych, amerykańskich turystek. Zrównoważone i uśmiechnięte Dunki z dokładnością przedszkolanek przyswoiły sobie najzawilsze arkana nowoczesnej cywilizacji technicznej, stosując je następnie bezbłędnie przy zachowaniu własnego, razowego stylu i obojętności istot od pokoleń impregnowanych na żywioł.

Do Amsterdamu lecimy Sabeną, samolotem, cieszących się dobrą sławą, Skandynawskich Linii Lotniczych. Z tą chwilą rozpoczyna się era nie tylko miłych, lecz i pięknych stewardess. Moja sarmacka dżentelmeneria zostaje doprowadzona do stanu wrzenia widokiem absolutnej nonszalancji okazywanej ślicznej panience przez pasażerów. Otuleni w pledy, poruszają automatycznie szczękami i każdy troskliwy zabieg o ich samopoczucie lub apetyt przyjmują z flegmatycznym dostojeństwem przekarmionych indyków. Otrzymujemy właśnie gumę do żucia, co podobno pomaga w regulowaniu ciśnienia na bębenki uszne przy starcie i lądowaniu. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek wymamrotał: dziękuję. Za sekundę z przerażeniem zauważam, że zachwycający uśmiech stewardessy jest po prostu przyklejonym grymasem. I guma, i jej uroda — to wszystko zostało wliczone w koszta biletu. Należy się — więc nie dziwi,

Umacniam się w przekonaniu, że gdybym nagle zaszczekał lub zaczął żonglować sandwiczami — wyzwoliłbym powszechny entuzjazm. To byłby wreszcie ów wytęskniony shocking, nieoczekiwana przygoda.

U źródła zachwytu tkwi przecież zdziwienie. Skoro zostało skorumpowane w swych formach najoczywistszych, może właśnie ta wstrząśnie odnalezionym autentyzmem.

CHESTERFIELDY

Brzeg holenderski uwierzytelniał opisy zawarte w broszurach popularno - naukowych. Prostokątne poletka tkwiły w wodzie po pas i wyglądało na to, że nie morze, ale rozrzucone po nim ostrużyny gruntu są tu intruzem.

Męski personel amsterdamskiego aeroportu dość nieżyczliwie i bezskutecznie usiłował dowieść, że nasz bagaż przekracza normy dopuszczalnej wagi. Ciemno umundurowani urzędnicy, przypominający obejściem pruskich gburów, pozorowali rzeczowość, której psychologiczny posmak polegał na odnoszeniu się do nas obu właśnie jak do rzeczy. Ci sami ludzie otaczali nadgorliwą uprzejmością jakiegoś starszego Amerykanina, którego nazwisko Law, raz po raz wywoływały megafony. Zbiegiem okoliczności ówże mr Law zajął miejsce obok mnie w samolocie Holenderskich Linii Lotniczych — KLM.

Starszy pan wyraźnie dążył do nawiązania konwersacji. Gdy schyliłem się, żeby podnieść upuszczony przezeń ołówek — chrząknął i zapytał czy jestem Anglikiem. Dowiedziawszy się, że pochodzę z Warszawy, ogarnął mnie współczującym spojrzeniem i dał wyraz przekonaniu, że chyba już wiele lat nie widziałem swojej ojczyzny. — Nie dawniej niż osiem godzin temu — uspokajałem życzliwego turysta. Mr Law patrzył na mnie jak na wcielonego diabła, by wreszcie wykrzyknąć triumfalnie: Więc jest pan oficerem!

Skoro i ten domysł nie potwierdził rzeczywistego stanu rzeczy — mr Law skapitulował i przez pewien czas byłem dla niego tylko rzadkim okazem z pogranicza zoologii i botaniki. Okaz nie żywił ludożerczych zamiarów wobec Ameryki i ludzkości, czytał Wildera, Caldwella, Steinbecka i Mertona, nie był materialistą choć wyjeżdżał jako oficjalny reprezentant... mr Law rozrzewnił się nagle i demonstrował sympatycznemu barbarzyńcy sposób obchodzenia się z pudełkiem od Chesterfieldów. Zorientowawszy się, że już gdzieś się tego nauczyłem, postanowił mi je ofiarować, dołączając jeszcze wodoodporne zapałki. Z godnością Chińczyka odwzajemniłem mu się pudełkiem Waweli z zapałkami impregnowanymi z Częstochowskich Zakładów. Po tej fajce przyjaźni mr Law z Topeki w Kansas i polski turysta zaczęli wreszcie traktować się po ludzku.

Starszy pan od kilkunastu lat organizuje dla amerykańskich studentów dwumiesięczne wakacje w Europie. Każdy z chłopców wpłaca 2000 dolarów i wzamian za to ogląda nasz kontynent. Powinien ich pan przywieźć do Warszawy na Festiwal — rzuciłem mimochodem. Mr Law zamiast odpowiedzi zagestykulował przecząco dłońmi.

Morze Północne dymiło coraz intensywniej. Przez postrzępiony tiul mgieł, dostrzegałem błegnące ku nam zielone języki lądu. Więc niech ich pan pozdrowi najserdeczniej, ode mnie, od nas wszystkich. — Starszy pan promieniał i przyrzekał. Skrzętnie zapisywał mój adres, dyktował swój. Na lotnisku w Croydon długo jeszcze stał i patrzał jak obaj z Jarkiem poddawaliśmy nasze paszporty kontroli urzędników Jej Królewskiej Mości. Sprawdzał do końca czy też żegnał? Zamyślony, garbiąc się lekko, odchodził: Przyjazny Amerykanin, niedokładnie poinformowany człowiek — mr Law z Topeki.

KŁOPOTY NIEPRZYZWYCZAJONEGO

Młodzi urzędnicy w przyciasno skrojonych marynarkach wychylali się ku nam z wyżyn, zakrywających ich do pasa budek, kształtem przypominających ambonę. Przed oddaniem dokumentów zaglądali do grubej księgi, badając, czy przypadkiem nasze nazwiska nie znajdują się na liście osób niepożądanych. Mimo, iż nie posiadaliśmy wizy brytyjskiej, nie koszarowano nas jak w Kopenhadze czy Amsterdamie w pomieszczeniu dla podróżnych lecących tranzytem. Jeszcze trzeba było tylko w biurze transkanadyjskiej linii, której samolotem mieliśmy lecieć, wypełnić rubrykę z wakującym adresem najbliższej osoby pozostawionej w kraju. — To na wypadek katastrofy — przychylnie wyjaśniał Jarek.

Zapominając o obowiązującym w Anglii ruchu lewostronnym, nieporadnie uskakiwałem przed nadjeżdżającymi taksówkami. W ogromnej większości były staroświeckie, a ich kierowcy z cierpliwą wyrozumiałością starali się mnie mijać.

W przestronnej poczekalni lotniczego portu wisiały skrzynki towarzystw ubezpieczeniowych. Nie pamiętam już dokładnie, ale zdaje się, w razie wypadku, za szylinga obiecywali tysiąc funtów. Przyglądałem się podróżnym, co chwila przystającym przed skrzynkami i sięgającym po portmonetki. Za cztery godziny miał nastąpić odlot za Atlantyk. Czułem się ogromnie znużony. Nienawidziłem krzyczących kolorami i fascynującymi tytułami okładek, tak radujących oko w Kopenhadze. Nie śpieszący się, grzeczni Brytyjczycy irytowali mnie niewytłumaczalnym spokojem. zestaw barw za szybami kiosków drażnił, a z tytułów z sadystyczną zgorzkniałością wyłuskiwałem słowo: mord.

Sądziłem, że polecimy odrzutowcem, ale podobno Amerykanie, wypominając Anglikom pechowe Comety sprzeciwiają się wprowadzeniu samolotów rakietowych na liniach północno - atlantyckich.

Nasza czteromotorowa gigantyczna maszyna, mieszcząca pięćdziesięciu dwóch pasażerów, startowała przy akompaniamencie przeciągłego jęku syreny pokładowej. Poetyczna nazwa samolotu „Super Constallation" przywodziła na pamięć niedawny zamach na trasie Hong-Kong — Bandung. Wszystkie miejsca były zajęte, ale poniechałem tym razem identyfikowania podróżnych, całą uwagę skupiając na studiowaniu broszury, której tytuł głosił, że wygoda i bezpieczeństwo turystów są przedmiotem najbardziej pieczołowitej troski właścicieli i załogi samolotu. Jako dowód załączano rysunki okrągłych jak balie, gumowych tratewek, w których na wypadek zatonięcia samolotu, z całkowitą gwarancją maksymalnego komfortu, możemy nie denerwując się czekać na statki śpieszące z pomocą.

Sygnałem alarmowym jest powtarzający się co sekundę trzykrotny dźwięk syreny oraz zapalenie się świateł przypominających o obowiązku zgaszenia papierosów i zapinania pasów. Z walizki należy wówczas wyjąć najcieplejsze odzienie jakie się posiada, założyć gumowe kamizelki, zająć postawę ubezpieczającą, która polega na głębokim skłonie tułowia ku kolanom oraz wykonywać ściśle nadawane przez mikrofon zlecenia kapitana załogi.

W broszurze była także mowa o przecinaniu pasów jakimś ostrym narzędziem, zdaje się żyletką do golenia. Tej partii książeczki ani rusz, nawet z francuskiego tekstu nie udawało mi się przetłumaczyć, i świadomość niecałkowitego dozbrojenia uwierała mnie jak kamyk w wygodnym pantoflu. Z czułością i skruchą wspominałem nudną Francuzicę, którą wraz z siostrami pozostawiłem ongiś w wózku zaprzężonym w osła, wyrzucając uprzednio lejce za burtę dwukołowej kałamaszki i zachęcając do galopu kłapouchego rumaka.

Lecieliśmy już około dwóch godzin i według moich obliczeń od dawna znajdowaliśmy się nad oceanem. Za oknem szalała ulewa, a podmuchy wiatru dość gwałtownie wstrząsały samolotem. Podejrzliwie łowiłem trzaski i jakby pośpiesznie wydawane rozkazy, dobiegające z tuby megafonu. Nie rozumiałem nic, a zmierzająca do kabiny kapitana stewardessa niestety nie znała francuskiego. Ucisk w uszach odczułem chyba równocześnie z zawieszeniem wzroku na napisach wzywających do zapięcia pasów. Były zapalone. W tej chwili odezwał się szakal syreny. Uznałem, że jęczy rytmicznie. Przy sobie nie miałem nic ciepłego, walizkę z ubraniami oddałem na bagaż. O tej porze Atlantyk musi być lodowaty. Byłem jeżem buntu na myśl o konieczności radzenia sobie z mroźnym, słonym żywiołem. No i niewyjaśniona sprawa żyletki. Chodzi o pasy czy o powrozy, o żyletkę czy brzytwę, a może ten niezrozumiały wyraz* oznacza elektryczną maszynkę do golenia? Jeżeli tak, na czym w tych okolicznościach ma polegać jej niezbędność?

„WIELKA SADZAWKA"

Lądowanie w Shannon w Irlandii było naturalnie objęte programem lotu, ale nie informowano nas o tym przed podróżą. Postój trwał blisko godzinę. Nastrój poczekalni shannońskiej łączył w sobie dystynkcję salonu z musującą determinacją portowej tawerny. Kilku irlandzkich księży, majestatyczne ladies, kanadyjscy oficerowie i emerytowane wilki morskie na kabłąkowatych nogach, w najlepszych, szkockich wełnach. Wszyscy pili na umór. Lotnisko pachniało deszczem, a krzyżujące się w górze prety reflektorów nieudolnie podtrzymywały niewiadomy pułap ciemności.

*) Le gilet de sauvetage — jak informuje słownik, oznacza kamizelkę ratunkową (przyp. mój).

(Dokończenie na str. 7)

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

MŁODOŚĆ POZDRAWIAM

Salut

Porywający lot zenitów
I niebiosa wyzwolone od łun
Pozdrawiam.

Ziemię, piastunkę wzgórz i pól
płodnymi wnętrznościami lgnącą
do naszych stóp,
jej nieznużoną miłość
pozdrawiam.

I dzień — i każdy dzień gdy tryska z nocy
jak strumień z łona skał
na zawsze nowe zwiastowania świtu
i pokolenia wiecznie młodych dni
pozdrawiam.

Lecz nade wszystko ręce zrośnięte uściskiem,
ręce twórców, gdy karmią przymierze
trud porozumienia
dzieło pojednania
jutro — drogowskaz przyszłości — to wszystko
co jest sprawą pokoju,
wszystko co się stanie —
Młodość pozdrawiam.

Do cudzoziemca

O twoje dachy dzwonił tylko księżyc
Nie wiesz jak spala deszcz apokalipsy
Twoją stolicę tysiąclecia dźwięczne
oblekły w marmur i dźwignęły w spizu.

Tutaj kamienie nawet umierały,
wzgórza popiołów były panteonem
świadectwem dziejów tylko martwy dym.

Ostrożnie przeto po tym bruku stąpaj
i dzieło nasze mierząc — sądź rozważnie
Na dnie zdławiona tutaj śpi zagłada
psalmów hebrajskich u korzeni krzyk.

I nieulękłe, gdziekolwiek się ruszysz
staną przy tobie — patrząc prosto w serce —
źrenice bohatera.
Gościu mój — życia możesz się tu uczyć —
tu, gdzie uczono umierać.

(Dokończenie na str. 5)

rys. Gabriel Rechowicz

Są takie uparte skojarzenia, wykorzystywane przez psychologów w testach na inteligencję: morze — okręty, karabin — strzał, malarz — obraz. Dzisiaj doszło jeszcze jedno: Genewa — Poczdam. Oba spotkania odbyły się „na najwyższym szczeblu". Oba rozpoczęły się prawie dokładnie tego samego dnia i miesiąca. Oba cechowała atmosfera zaufania i zrozumienia. Oba wreszcie miały przynajmniej jeden wspólny temat: zagadnienie niemieckie; i do podobnych doszły w nim konkluzji.

„Nie leży w zamiarach sprzymierzonych zniszczyć naród niemiecki lub obrócić go w niewolników, leży natomiast w ich zamiarach dać narodowi niemieckiemu sposobność do przyszłej przebudowy jego życia na podstawie demokratycznej i pokojowej" — stwierdzono w r. 1945.

„Szefowie rządów, uznając swą wspólną odpowiedzialność za rozwiązanie problemu niemieckiego i zjednoczenie Niemiec zgodnie uznali, że rozwiązanie kwestii niemieckiej i zjednoczenia Niemiec w drodze wolnych wyborów powinno być dokonane zgodnie z narodowymi interesami narodu niemieckiego i interesami bezpieczeństwa w Europie" — oświadczono w roku 1955.

Nie same jednak podobieństwa znaleźć można między obu konferencjami. Dzieli je bowiem smutna powojenna — dekada „żelaznej kurtyny", rozbicie świata na dwa obozy. Dzieli je dziesięć lat podziału Niemiec.

Wielkie mocarstwa stoją dziś przed tym samym problemem, co w roku 1945 — problemem stworzenia zjednoczonych demokratycznych i pokojowych Niemiec. Wiemy dobrze co spowodowało, że zmarnowano długich dziesięć lat. Wiemy? Więc przypomnijmy sobie bardzo skrótowo.

6.IX.1946. Przemówienie Byrnesa rozpoczyna odwrót od uchwał poczdamskich.

2.XII.1946. Utworzenie „Bizonii" półtora roku później „Trizonii", tj. połączenie zachodnich stref okupacyjnych.

7.IX.1949. Utworzenie separatystycznej Republiki Związkowej.

24.X.1950. Powstaje plan zorganizowania armii europejskiej, tzw. plan Plevena.

26.V.1952. Podpisanie „układu ogólnego" przedłużającego okupację Niemiec zachodnich na lat 50.

5.V.1955. Wejście w życie tak zwanych układów paryskich.

Wyrwaliśmy kartki z kalendarza życia politycznego powojennej Europy. Każda z tych dat była kamieniem milowym na drodze wiodącej od zjednoczenia Niemiec. Każda z nich utrwalała rozbicie narodu, którego najgłębszym pragnieniem jest właśnie jedność. To nie tylko nasz pogląd. Mamy do czynienia z faktem tak niezbitym, iż uznaje go każdy rozsądny człowiek, bez względu na orientację polityczną. Chciałbym tu zacytować dla przykładu artykuł „America-Germany-Russia", który ukazał się w nr 2/55 kosmopolitycznego pisma kół uniwersyteckich Oxfordu „Occidente", a który jest przedrukiem rozprawy wygłoszonej na jednym z kolegiów oxfordzkich. Czytamy tam — „Amerykanie żądali, aby remilitaryzacja Niemiec i integracja wojskowa Europy z włączeniem sił niemieckich miała pierwszeństwo w polityce Zachodu. Londyn i Paryż poddały się temu. Jakżeż skutkowała ta polityka na sprawę zjednoczenia Niemiec? Ponieważ Niemcy zachodnie miały stać się pierwszym polem walki, ponieważ ich potencjał przemysłowy i rezerwy ludzkie były istotne dla zbudowania siły, której pragnęli dowódcy wojskowi, ponieważ — z drugiej strony — zjednoczenie Niemiec drogą pokojową mogło być osiągnięte jedynie przez zapewnienie Rosjan, iż kraj ten nie będzie sprzymierzony lub włączony w system obrony zachodniej, stwierdzić należy, że ci, którzy określali politykę Zachodu od roku 1950 absolutnie nie mieli na oku zjednoczenia Niemiec". Wyręczyliśmy się pismem, które zajmuje w swych artykułach uparcie antyradzieckie stanowisko, ale które nie chce przeczyć faktom. A fakty właśnie chcieliśmy przypomnieć.

Kiedy rozpoczynał się proces ratyfikacji układów paryskich, Związek Radziecki uczynił ostatnią próbę ratowania krótszej drogi do zjednoczenia Niemiec. Oświadczenie agencji TASS z 16 stycznia ostrzegało rząd Adenauera, że „w wypadku ratyfikacji układów paryskich Bundestag obarczy się ciężką odpowiedzialnością za utrzymanie rozbicia Niemiec, jak również za sytuację upośledzenia prawnego, w której znajdzie się na długie lata ludność Niemieckiej Republiki Federalnej".

Mimo to ratyfikacja nastąpiła.

JANUSZ STEFANOWICZ

KROK ZA KROKIEM

Czy z tą chwilą zgasła wszelka nadzieja na zjednoczenie Niemiec?

W pouczającym zbiorze rozrywek matematycznych „Lilavati" znajdziemy szereg zadań tego typu: należy przetoczyć wagon z toru A na sąsiedni tor B i dalszy C. Najkrótsza droga — najpierw na B, potem na C — jest zamknięta. Czekać? tego nie przewidują warunki zadania. Trzeba więc objechać dalszą drogą — najpierw C, potem B.

Podobnie można by przedstawić obecny stan problemu niemieckiego w kontekście zagadnienia bezpieczeństwa Europy. Krótsza droga — zjednoczenie, potem bezpieczeństwo zbiorowe — została zamknięta jednostronnymi posunięciami mocarstw zachodnich. Czekać? tego nie przewidują już nie warunki gry, ale warunki życia i polityki. Należy więc z całą świadomością obrać drogę dłuższą co prawda, ale jedynie w obecnych okolicznościach realną — zjednoczenie Niemiec przez osiągnięcie bezpieczeństwa zbiorowego.

Droga jest niewątpliwie dłuższa. A przez to dłuższy jest okres tymczasowego podziału Niemiec — i na ten okres trzeba znaleźć rozsądny, oparty o zasadę pokojowej koegzystencji *modus vivendi*. Dlatego rząd radziecki, oceniwszy realistycznie fakt ratyfikacji układów paryskich, zwrócił się w czerwcu ze znaną notą do rządu NRF.

W słowach noty znajdujemy dobitne stwierdzenie faktu, o którym trzeba pamiętać: uznanie stanu faktycznego i propozycja nawiązania stosunków z NRF zgodnie z zasadą współistnienia wszystkich państw nie stanowi w żadnej mierze petryfikacji podziału Niemiec i nie odsuwa momentu zjednoczenia tego kraju, które zależne jest od zupełnie innego czynnika — od ogólnego bezpieczeństwa Europy.

Ta myśl przewija się przez przedgenewskie oświadczenie agencji TASS z 12 lipca. Ta myśl towarzyszyła delegacji radzieckiej w Genewie. Już na pierwszym posiedzeniu konferencji premier Bułganin oświadczył m. in. — „Rząd Radziecki wychodzi z założenia, że złagodzenie napięcia w stosunkach międzynarodowych i stworzenie skutecznego systemu bezpieczeństwa w Europie w znacznym stopniu ułatwiłoby rozwiązanie kwestii niemieckiej, zapewniłoby niezbędne przesłanki zjednoczenia Niemiec na zasadach pokojowych i demokratycznych. Rząd Radziecki był i jest zwolennikiem zjednoczenia Niemiec zgodnie z interesami bezpieczeństwa Europy... Należy stwierdzić, że główną przeszkodą do zjednoczenia Niemiec jest w chwili obecnej remilitaryzacja Niemiec zachodnich i włączenie ich do militarnych ugrupowań państw zachodnich... Niezbędne jest dążenie do rozwiązania kwestii niemieckiej również w przypadku, gdyby w obecnych warunkach nie udało się od razu osiągnąć porozumienia w sprawie zjednoczenia Niemiec. W tym przypadku należy rozwiązywać to zadanie krok za krokiem".

To jasne i logiczne sprecyzowanie poglądów ZSRR wywołało w pewnych odłamach prasy zachodnio - niemieckiej sporo złośliwie fałszywych komentarzy, które można by streścić w jednym zdaniu — Zachód szczerze dąży do zjednoczenia Niemiec, a Związek Radziecki wcale tego nie pragnie, bo wygodnie mu jest z istniejącym podziałem. Prasa ta nie dawała nam dotychczas powodów, aby traktować ją zbyt poważnie. Kiedy mimo to rozejrzymy się w jej argumentacji, dojdziemy do wniosku, że wszystkie dowodzenia opierają się na poruszonej już przez nas kwestii — użyjmy języka dyplomatycznego — precedencji. I niewątpliwie w tej mierze mają rację. Zachód — myślę tu przede wszystkim o planie Edena — uważa, że najpilniejszym zadaniem jest sprawa zjednoczenia Niemiec, po czym nastąpić powinno rozważenie problemu bezpieczeństwa Europy. Co więcej, kiedyś pogląd taki reprezentował Związek Radziecki. Kiedyś — to znaczy przed wciągnięciem Niemiec zachodnich do bloku atlantyckiego i unii zachodnioeuropejskiej. Cóż jednak dziś oznaczałoby przyjęcie takiego trybu unifikacji Niemiec, co oznacza ono w intencjach zachodnich mężów stanu? Odpowiedź jest prosta — moc obowiązująca układów paryskich i zasięg działania NATO rozszerzyły się na całe Niemcy. Zamiast zjednoczenia, po prostu inkorporacja NRD. I nie tylko to — przyjęcie podobnego trybu unifikacji oznaczałoby porzucenie zasad uchwał poczdamskich, które mówią przecież nie tylko o jednych Niemczech, ale dodają przymiotniki — demokratyczne i pokojowe.

Dlatego Związek Radziecki stał w Genewie na stanowisku innej drogi zjednoczenia Niemiec. Jak powiedział w Berlinie premier Bułganin, „Wychodziliśmy z założenia, że początkowo NRD i NRF, a następnie Niemcy zjednoczone powinny wchodzić do ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego, powinny być uczestnikami układu o bezpieczeństwie europejskim, układu, który winien zapewnić pokój.

Obiektywne warunki historyczne wskazują, że taką powinna być — i taka jedynie może być — droga zjednoczenia Niemiec. Rozumiemy to dobrze. Na szczęście, zaczynają też rozumieć to i Niemcy zachodnie. „Genewa wykazała, że Niemcy tak długo pozostaną podzielone, jak długo usiłować się będzie utrzymać w mocy stare stosunki" — pisze organ SPD „Hannoversche Presse".

Tak więc coraz bardziej przeważa opinia o realności drogi radzieckiej. Pozwala nam to wierzyć, iż jesienne spotkanie ministrów spraw zagranicznych wielkiej czwórki poczyni dalsze postępy w pracy tak dobrze zaczętej w Genewie.

ZYGMUNT LICHNIAK

MELDUNKI

28 LIPCA, RANO

A WIĘC już za trzy dni początek wielkiego spotkania przyjaźni! Warszawa trochę się denerwuje, trochę nienaturalnie ożywia ją gorączka ostatnich przygotowań, trochę za głośno drą się megafony, które może zbyt forsownie przeprowadzają z mieszkańcami Warszawy ostry trening taneczny i ogólno - nastrojowy, żeby to — wiecie — z uśmiechem, żeby — rozumiecie — pogodnie, żeby — mówiąc po warszawsku — na sto dwa. Ale mimo tego poddenerwowania, mimo gorączki organizacyjnej, w której nawet ruiny warszawskie niektórzy (np. na ulicy Pięknej) zaczęli przemalowywać na wesoły, biało-niebieskawy kolorek, wreszcie mimo starannie maskowanej, lecz bardzo widocznej tremy całego miasta („Czy wszystko się uda?", „czy nic nie nawali", „czy już całość zapięta na ostatni guzik?") czuje się już w powietrzu coś z radosnego spotkania młodości świata, coś z aury wielkiej zabawy, która jest wielką demonstracją, coś z atmosfery ciepłego zjazdu rodzinnego, gdzie zamiast nudnych ciotek spotkają się młodzi, zainteresowani sobą i trochę (nie ma co ukrywać, bo i tak wszyscy o tym wiedzą) rozflirtowani między sobą kuzyni i kuzynki, by już nie stwierdzać stereotypowo: bracia i siostry.

Ludzie kupują w kioskach programy festiwalowe, z których jeszcze niczego konkretnego nie mogą się dowiedzieć. Dzieciarnia wyciąga od rodziców grosze na bajecznie kolorowe flagi z papieru, wśród których największym powodzeniem cieszy się miła dla oka Costa Rica i Liberia, Jordania i Filipiny, Tunezja i Syria. Kibice sportowi wynotowują z gazet imienne zgłoszenia na II MISM, zachodząc w głowę, jak rozłożyć sobie czas i jak zdobyć bilety, by zobaczyć Zatopka, Ullsbergera czy Iharosa, a jednocześnie nie przegapić hokeistów Indii, pływaków Węgier, lub tenisisty Budge Patty'ego. Podobne zmartwienia mają kinomani i wielbiciele Melpomeny, nie mówiąc już o bziku filatelistów, zbieraczy autografów i kolekcjonerów znaczków festiwalowych, a wcale nie wspominając o kociakach szykujących obławy na sobowtórów Gerard Philipe'a, ani o dżolerach, dostających jazzowych drgawek na myśl o zagranicznych zespołach muzycznych, po których sobie obiecują wiele rzekomo zakazanych radości.

Jednym słowem: dla każdego coś miłego. Każdemu na miarę jego wrażliwości. Odrzućmy pokusę rozstrzygania zawiłych problemów, kto obierze najlepszą cząstkę. Odrzućmy także pokusę decydowania o tym, jak należy przeżywać bogactwo wrażeń festiwalowych. Ba, pozwólmy sobie na pozornie heretyckie stwierdzenie, że równie ważne jest przeżycie warszawskiego spotkania młodości w kategoriach zabawy i rozrywki, w kategoriach festynu czy słonecznego karnawału, jak w kategoriach demonstracji politycznej, politycznego wiecu, politycznego zgromadzenia młodzieżowych sił pokoju. Oczywiście, to są sprawy organicznie z sobą połączone. Oczywiście, nie należy ich sztucznie rozdzielać. Program Festiwalu przewiduje i bale maskowe, i wycieczki do Oświęcimia, zabawy na placach i konferencje w seminariach naukowych, śpiewy i dyskusje, wymianę sympatycznych upominków i wymianę gorzkich nieraz doświadczeń. Treścią festiwalowych dni będą zawsze miłe, a nieraz nawet o flirty zahaczające pogaduszki i długie, budzące wiele refleksji rozmowy. O całości trzeba pamiętać, całość trzeba rozumieć. Ale nie jest chyba konieczne narzucać sobie z góry owe całościowe założenia, nie jest chyba konieczne przy każdej okazji wysilać się na zasadniczy referat o znaczeniu festiwalu w skali międzynarodowego zbliżenia młodzieży świata, miłującej pokój i walczącej o pokój.

Mądrością takich imprez jak festiwal warszawski jest nieprzymuszana do żadnych apriorycznych uogólnień mądrość wymowy faktów. Na pozór drobnych. Na pozór nieraz nawet błahych, czy choćby — trochę śmiesznych. Sumują się one same w bilans nowego doświadczenia, pogłębiają się w tym bilansie o refleksje zasadniczej natury, stanowią elementy poglądowej lekcji internacjonalizmu i wspólnoty obozu pokoju.

Dlatego podpatrujmy fakty. Cieszmy się faktami. Kiosk warszawski oblepiony barwnymi chorągiewkami stu narodów to barwny element festiwalowej architektury, a jednocześnie trybuna, w której kolory wygłaszają barwną wymowę o radości wielkiego przymierza. Mały szkrab kupujący w kiosku papierowe proporczyki lub układający plan polowania na autografy czy znaczki festiwalowe, uczy się — bez obawy przed „lufą" w szkole — nowej geografii przyjaźni i pokoju. Gdzie indziej kioski wypindrzają się do takich szkrabów gołymi kragłościami dziwek. Gdzie indziej młodzi chłopcy układają plany napadów rabunkowych. Nie lekceważmy przeto mądrej pedagogiki pozornie szczeniackich zapędów kolekcjonerskich. Oczywiście, te drobne fakty to nie wszystko, ale — dajmy spokój rozważaniom ogólnym. Właśnie po to piszę tu o tym wszystkim, aby zaproponować sobie i czytelnikom jak najprostszą, choć wcale znowu nie tak łatwą i nie tak często stosowaną metodę bezpośredniego, po prostu zwykłego notowania festiwalu. Inni już napisali i na pewno jeszcze napiszą wiele zasadniczych, tzw. merytorycznych artykułów. A ja chciałbym — z dnia na dzień — być sprawozdawcą długiego i barwnego korowodu godzin festiwalowych. Oczywiście, wiem i powtarzam to nie tylko dla siebie samego, że tak jak godziny festiwalowego życia sumują się w dni, a dni w dwa barwne tygodnie, które stanowić będą pełną i piękną na pewno całość, tak i drobne fragmenty spostrzeżeń, mozaika faktów i fakcików kronikarskich ułożyć się powinna i chyba się ułoży w zrozumiałą i konieczną afirmację festiwalu jako manifestacji i walki. Pozostawmy to jednak faktom. Umówmy się, że wasz sprawozdawca będzie po prostu jednym z was, gawędząc z wami o tym, co widział i słyszał, a co może nie wszyscy mogli zobaczyć i nie wszyscy mogli usłyszeć.

28 LIPCA W POŁUDNIE

DLA ścisłości muszę odnotować, że jestem sprawozdawcą nr 138. A więc do pierwszych — ostrzegam — zaliczyć mnie nie można. Pocieszyć warto się tym, że zdaje się — nie jestem też ostatnim. A ponumerowali nas tak dla porządku w ośrodku prasowym, który mieści się w hotelu „Warszawa" na Placu Wareckim. Byłem tam właśnie dzisiaj po legitymację i ów znaczek prasowy z numerem 138.

Ten hotel to wcale nie hotel, tylko wieża Babel. Trochę się przestraszyłem, bo początkowo uprzejmie odsyłano mnie od Annasza do Kaifasza, ale potem kol. Ładkowski odesłał mnie do kol. Monda, a kol. Mond za rączkę poprowadził do informacji, która z kolei poinformowała się u mnie kto jestem, czego szukam i czy mam numerek, wreszcie wyjaśniła, że jutro zadzwonię i powiedzą jak z biletami. Wziąłem z sobą do redakcji kilka kilogramów „Biuletynu informacyjnego", a przy okazji obkupiłem się w prasę zagraniczną, zafundowałem sobie parę książek, których normalnie nie ma, bo „rozsprzedane" i postanowiłem w domu ułożyć plan działania sprawozdawczego.

28 LIPCA WIECZOREM

KTOŚ kiedyś obliczył — a Koźniewski obliczenie to wykorzystał do tytułu jednej ze swoich książek — że gdybyś chciał oglądać wszystkie imprezy festiwalu w Bukareszcie, musiałbyś na to w sumie poświęcić 70 lat. Przerzucam programy festiwalu warszawskiego i chociaż zawsze byłem z matematyką na bakier, coś mi się zdaje, że tym razem oglądanie wszystkich zajęłoby chyba około 100 latek. 100 lat w dwa tygodnie! Ładne zagęszczenie.

Im dłużej przeglądam programy, tym mniej pewnie się czuję w roli sprawozdawcy. Zwłaszcza, że i z imprez sportowych rezygnować nie myślę i z filmem żal mi rozluźniać kontakty, a przedstawień galowych — zwłaszcza opery chińskiej, baletu radzieckiego czy występów krajów kolonialnych nie chciałbym stracić. Osiołkowi w żłoby dano. Sprawozdawca głową kręci i to pachnie i to nęci. Pewna pociecha (chociaż i ta pociecha ma dwa końce) w tym, że mam kogoś, kogo wybrano delegatem na festiwal, z kim będę mógł częściowo dzielić ambicję zobaczenia jak najwięcej. Co czworo oczu to nie dwoje, a wszystko zostanie w rodzinie, w sprawozdaniu zaś nawet nazwiska nie będzie trzeba zmieniać, bo żony zawsze noszą nazwiska mężów. Radzimy więc z Zosią nad podziałem terenów sprawozdawczych, ale nie jesteśmy zbyt pewni, jak to będzie z łącznością małżeńską w czasie festiwalu. Może uda nam się nawiązać kontakt z okazji spotkania z katolikami francuskimi, lub w czasie rozmowy z chrześcijanami krajów kolonialnych? Zobaczymy.

Na dzisiaj chyba już dosyć tej — także trochę podgorączkowej — pisaniny. Rozgadałem się niejako profilaktycznie. Na zapas. Później trzeba będzie i szybciej, i bardziej skrótowo. Zresztą niemiłosierni redaktorzy i tak będą te meldunki festiwalowe, a zwłaszcza przedfestiwalowe cieli, umerytoryczniali. Żeby było tak jak trzeba. Bo redaktorzy zawsze — choćby nie wiedzieli — wiedzą jak trzeba. Sam kiedyś musiałem — nie zawsze wiedząc — zawsze wiedzieć.

29 LIPCA POPOŁUDNIU

PONIEWAŻ rzeka festiwalowych wydarzeń jeszcze mnie nie wchłonęła w swój nurt, a o festiwalu nie myśleć jest coraz trudniej, zebrało mi się na wspominki.

Jak te lata płyną! To już piąty festiwal przecież! Obliczam szybko na palcach: pierwszy w Pradze w r. 1947, drugi w Budapeszcie w r. 1949, trzeci w Berlinie w r. 1951, czwarty w Bukareszcie w r. 1953, wreszcie piąty u nas. Ani się spostrzeżesz a szósty w Moskwie czy Pekinie zgromadzi znowu młodzież świata.

Na pierwszym był z ramienia naszego ruchu katolików społecznie postępowych Andrzej Micewski, dziś już nie młodzieżowy działacz polityczny. W Berlinie byłem z nim razem. Do Bukaresztu pojechał Rostworowski z dwoma młodszymi kolegami. Na warszawskim festiwalu reprezentuje nas już siedmio-

W KRĘGU SPRAW WAŻNYCH

OSTATNI numer dwumiesięcznika „Życie i Myśl" (nr 2/3 1955) otwiera się artykułem ks. prof. Kazimierza Kłósaka pt. „Początek czasowy wszechświata a zagadnienie istnienia Boga". Ceniony powszechnie autor dał nam tutaj szersze i bardziej całościowe ujęcie zagadnienia, nad którym pracuje od dłuższego czasu. Notatka informacyjna nie jest miejscem na rzeczową analizę treści tej pracy, zająć się tym winni fachowcy — filozofowie. Jednakże i dla laika stanowi artykuł ks. Kłósaka nie lada ucztę. Pomijając formę artykułu, charakteryzującą się logiką i przejrzystością iście tomistyczną oraz uwzględnianie przez autora najnowszych osiągnięć myśli filozoficznej (tak charakterystyczne dla wszelkich prac ks. Kłósaka) dla czytelnika nie filozofa ciekawa będzie sama problematyka pogłębiająca intelektualne podstawy światopoglądu religijnego. Cenną zaletą tej pracy jest jej oryginalność, autor nie ogranicza się do referowania poglądów dawniej sformułowanych, ale korzystając z nich tworzy własny system.

ARTYKUŁ ks. prof. Mieczysława Żywczyńskiego pt. „Stanowisko Ludwika Pastora w historiografii papiestwa" odznacza się — jak wszystkie prace tego wybitnego naukowca — ścisłością sformułowań, dokładną dokumentacją bibliograficzną i jasnością ocen. Na tle ewolucji tej dziedziny historiografii ustawiona została postać i twórczość naukowa Ludwika Pastora, którego setna rocznica urodzin minęła w roku ubiegłym.

Sześnaście tomów „Historii papieży od schyłku średniowiecza", będących dziełem życiowym Pastora, spotkało się w świecie katolickim z najróżnorodniejszymi ocenami. Od skrajnego potępienia dzieła, jako nienaukowego i tendencyjnego do entuzjastycznych i panegirycznych zachwytów. Ks. prof. Żywczyński odcina się od ocen skrajnych formułując własny sąd o tej gigantycznej pracy przy pomocy konfrontacji stanowiska Pastora z osiągnięciami naukowymi innych historyków. Autor nazywa pracę Pastora „pierwszą wielką a zarazem źródłową historią papieży". Pastor był „pionierem... przez swój ogrom pracy, przez wydobycie na światło szeregu nowych zupełnie źródeł, nowych faktów, nowych zagadnień". Jednakże „trudno go uważać za wzorowego badacza. W dziejach rozwoju metody historycznej nie zrobił ani kroku naprzód".

Kilka zasadniczych braków zaciążyło na dziele. Przede wszystkim nie znał Pastor teologii i filozofii, co z konieczności zawęzić musiało możliwości oceny całokształtu prac papieży w szczególności wewnętrzno-kościelnych, doktrynalnych. Drugą wadą było „zupełne zlekceważenie spraw ekonomicznych, całkowite niemal pominięcie podstaw finansowych kurii rzymskiej". Zrozumiałe jest, że przy takiej metodzie wiele zjawisk musiało pozostać bez dostatecznie głębokiego wyjaśnienia. Również podział historii Kościoła według poszczególnych pontyfikatów wzbudził u ks. Żywczyńskiego zastrzeżenia. Istnienie i działanie różnych instytucji naczelnych papiestwa, urzędów i kongregacji powodowały ciąg określonych tendencji przez kilka pontyfikatów, a sztuczny ich rozdział spowodował tylko zaciemnienie dłuższych tendencji historycznych.

Te i inne błędy (np. tendencyjne naświetlanie niektórych papieży) umniejszają wagę wielkiej pracy Ludwika Pastora. „Mimo wszystkie braki dzieło to, ukończone w druku przed dwudziestu laty jest poza tym i musi być, punktem wyjścia dla badań następnych, choć nie przez swe ujęcie, ale przez materiał, na którym jest oparte" — konkluduje autor. Należy zaznaczyć, że wartość rozprawy ks. Żywczyńskiego nie ogranicza się do cennego naświetlenia twórczości Pastora; liczne rozważania metodologiczne i historiograficzne zawarte w rozprawie poszerzają dodatkowo zasób wiedzy czytelnika.

ARTYKUŁ Witolda Ostrowskiego („Maria, Marta i Chrystus") porusza zagadnienie współzależności kontemplacji i czynu. Wydaje się, iż wobec typowych dla pewnych kręgów katolików tendencji do ucieczki przed odpowiedzialnością za rzeczywistość ziemską artykuł jest aktualny pomimo pozornie ogólnego i teoretycznego charakteru. Formalnie jest on próbą prawidłowej interpretacji ewangelicznego epizodu Marii i Marty, postaci odczytywanych często jako symbole kontemplacji i czynu. Cytując obszernie teologów współczesnych i dawnych, w tym wielu świętych, autor przypomina znane, choć czasem zapomniane poglądy na tę kwestię.

„Kontemplacja nie jest sama przez się świętością, lecz jednym z bardzo skutecznych środków dojścia do niej; świętość zaś sama polega na miłości oraz na ścisłym i stałym zjednoczeniu z Bogiem. Otóż kontemplacja jest rzeczywiście sama w sobie skróconą drogą prowadzącą do tego zjednoczenia, nie jest jednak drogą jedyną, gdyż bywają dusze niekontemplatywne, które mogły poczynić większe postępy w cnocie i w prawdziwej miłości, niż inne, które rychłej kontemplację własną otrzymały" (cyt. O. Ad. Tanquerey, Zarys teologii ascetycznej i mistycznej).

Jeszcze silniej podkreśla związek kontemplacji z czynem Orygenes, pisząc: „Poczytam się za duszę prawdziwie kontemplacyjną, jeśli przede wszystkim czyny twoje okażą się doskonałe".

Trudno w krótkiej notatce streścić główne myśli zawarte w artykule, czy nawet scharakteryzować cytowane tam obficie wypowiedzi św. Katarzyny ze Sieny, św. Teresy od Jezusa, św. Jana od Krzyża, św Alfonsa Ligouri i innych. Trzeba jednak stwierdzić, że artykuł ten przez ciekawy dobór tekstów osób stanowiących autorytety w tej dziedzinie pogłębia przekonanie o słuszności poglądów tej części katolików, którzy widzą konieczność wyciągania maksymalnych wniosków praktycznych z zasad głoszonych przez Kościół Katolicki w szczególności w zakresie społecznej odpowiedzialności za bliźnich.

DO ciekawych pozycji należy artykuł „Wezwanie ku wolności". Jest to nieznacznie skrócony przedruk wypowiedzi miesięcznika wiedeńskiego „Wort und Wahrheit" z kwietnia 1953 r. Linia redakcyjna tego miesięcznika daleka jest od pozycji społecznie postępowych. Można nawet stwierdzić, iż zespół redakcyjny reprezentuje w wielu artykułach stanowisko wyraźnie konserwatywne.

W szczególności artykuły: „Auszug aus dem Abendland?" (Nr 4 kwiecień 1955) i „Die Unabhängigkeit der Katholischen Kräfte" (Nr 12 grudzień 1954) stanowią dokumenty dziwnej mieszaniny dynamiki i pasji ideowej z niezwykle obskuranckimi tezami politycznymi. W pierwszym autorzy zwalczają pojawiające się w Europie Zachodniej tendencje do wychodzenia naprzeciw kulturze socjalistycznej i odcinania się od kultury burżuazyjnej, w drugim artykule redakcja zajmuje stanowisko wobec tzw. polityki socjalnej przeprowadzając bardzo ostrą krytykę przejmowania przez organy państwowe całokształtu opieki nad starcami, bezrobotnymi, sierotami itp. Autorzy postulują tu wyłączność prywatnej akcji charytatywnej. Przy okazji dostaje się za ustawę o pomocy dla emerytów samemu... Adenauerowi.

Artykuł „Wezwanie ku wolności" należy do ciekawych osiągnięć redakcji „Wort und Wahrheit". W sposób przekonywający atakuje on zastój katolickiej myśli teologicznej i społecznej wynikającej zdaniem autorów m. in. a nawet przede wszystkim z faktu ograniczenia wolności wewnątrz społeczności katolickiej. Niesposób nie przytoczyć na tym miejscu kilku cytatów z tej pracy:

„Publiczne sprawy Kościoła, które nie dotycza wprawdzie wiary, lecz wewnętrznego porządku wśród społeczności wiernych oraz działania ich w świecie, domagają się również wyjaśniających dyskusji, a nawet sporów. Hierarchia nie jest autokracją; decyzje autorytatywnych władz Kościoła oraz tych organów, które wywodzą swój autorytet z autorytetu biskupów, nie powinny być dyktatem, lecz powinny pozostawać w zgodzie z wewnętrznym stanem danej społeczności wiernych i korzystać z ich doświadczenia i znajomości rzeczy. Tylko swobodne wypowiadanie swego zdania może wydobyć na jaw te wartości; powinno ono poprzedzać każdą autorytatywną decyzję".

„Tymczasem wolność wypowiadania się w łonie Kościoła zmniejszyła się w sposób niebezpieczny. Istnieje wprawdzie szeroko rozgałęziona prasa katolicka czy chrześcijańska, ale trudno ją uważać za samodzielny czynnik, zdolny do formułowania opinii w wielkim stylu. Pierwszą rzeczą, której na ogół wymaga się od publicysty katolickiego jako dowodu właściwego zachowania się, jest zacny konformizm. Kto wyłamuje się z granic przeciętności i mówi niemiłe prawdy, naraża się na upomnienie, a nawet na utratę swojej pozycji".

„W kwestiach, które należałoby powierzyć do swobodnego rozstrzygnięcia sumieniu dojrzałych chrześcijan, a które mają bardzo tylko pośredni związek z religijnymi lub etycznymi prawdami (o ile go w ogóle mają), wydaje się polecenia oparte o autorytet Kościoła w tym celu, aby „utrzymać" katolików w jakiejś określonej organizacji lub w jakimś określonym froncie politycznym. Ażeby osiągnąć ten cel typu czysto instytucjonalnego, korzysta się dla określonego zalecenia co najmniej z powagi, jeśli nie wprost z władzy urzędu nauczycielskiego — i nie tylko wydaje się zarządzenie powołujące się na obowiązek karności wobec Kościoła, lecz nadto nakłada się jarzmo na ludzką myśl".

„Wolność dyskusji i krytyki w łonie Kościoła nie kieruje się przeciw władzy nauczycielskiej biskupów i Stolicy Apostolskiej. Ale każde ważne rozstrzygnięcie władzy nauczycielskich i pasterskich w Kościele winno być poprzedzone publicznymi dysputami. Nie znaczy to, by papież miał ograniczyć się jedynie do definiowania, a biskup do autorytatywnego obwieszczania tego, co kwalifikowana większość wiernych postanowi lub uzna za słuszne w ramach plebiscytu duchowego. Podział Kościoła na nauczający i słuchający pozostaje w mocy; nie ma żadnej „demokratyzacji" nauczania. Ale Duch Święty zstąpił na cały Kościół i działa w całym Kościele; głos Jego przemawia także i wśród wiernych. Urząd hierarchiczny, który sam jeden posiada moc wiązania i rozwiązywania, powinien zatem wysłuchać zdania wiernych, a nawet pobudzać do takiej wymiany zdań.

„Gdy rozstrzygnięcia zwierzchnich władz kościelnych opierają się jedynie na tajnym postępowaniu opiniodawczym, obejmującym tylko pewne koła rzeczoznawców, którym nie jest przy tym dana możność publicznej i bezpośredniej dyskusji, tak że świat chrześcijański za każdym razem staje wobec niespodzianki — wtedy rodzi się niebezpieczeństwo oddalenia się wiernych od czynnika nauczycielskiego w Kościele."

„Mamy przykłady na to, że życzenia, które zrazu nie znajdowały poparcia ani u Episkopatu, ani w Rzymie, a nawet spotykały się z oporem, stały się w końcu sprawą całego Kościoła, a przynajmniej zostały przyjęte przez władze kościelne — ponieważ właśnie część społeczeństwa kościelnego, o silnej postawie życiowej i mocnej wierze, obstawała przy nich wytrwale i w czystych zamiarach, wbrew ociąganiu się teologów i władz kościelnych".

„Wolności trudno się uczyć. Trzeba zaprawić się do niej jak do cnoty. Nie można jej wprowadzić w Kościele z pomocą zewnętrznych środków, jakkolwiek z ich pomocą można popierać jej rozwój, przede wszystkim drogą nauczania i szkolenia. Ale właśnie przy zaprawianiu się do wolności nie możemy zapominać, że kryje ona w sobie swe własne niebezpieczeństwo; zadowala się chętnie zaprzeczeniem, przeradza się często w uroszczenia, skłania człowieka do utraty zdolności właściwego oceniania siebie i do utraty szacunku dla innych. Dzięki temu może się wyrodzić w butę — hybris, której rezultatem będzie wyłamanie się z szeregów i wewnętrzna katastrofa. Także i wolność chrześcijańska nigdy nie jest zabezpieczona przed groźbą takiego upadku. A zatem wolność potrzebuje autorytetu dla swej własnej obrony".

„Jednak potrzebne jest jej również zaufanie władzy, jej wyrozumiałość, jej

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

Na Daleki Wschod (2)

KTO WINIEN?

PAMIĘTAM jeszcze dobrze obserwację, uczynioną w najcięższym okresie ostatniej wojny: najdzielniejsi, najtwardsi nawet ludzie nabierali powoli w życiu konspiracyjnym owego znużonego, niespokojnego wyrazu oczu szczutego zwierzęcia. Był to skutek dni spędzanych w najwyższym napięciu nerwów, kluczenia wśród licznych łapanek i egzekucji, conocnej możliwości obudzenia się przy stuku gestapowskich kolb o drzwi mieszkania. Natomiast ci, którzy do aresztowaliśmy go, by poszedł pod sąd. Ale układy genewskie zobowiązywały nas do wypuszczenia więźniów politycznych. Wówczas on zabrał manatki i pojechał...

Szeroki gest na południe wskazywał dokąd, podkreślając jednocześnie, że co się dalej z tym człowiekiem dzieje nic nie obchodzi już więcej mieszkańców wioski Thuykhe.

Głęboko wrodzona kultura tego narodu nakazuje mu jako regułę łagodność, perswazję, wyrozumienie. Doskonali żołnierze, Wietnamczycy

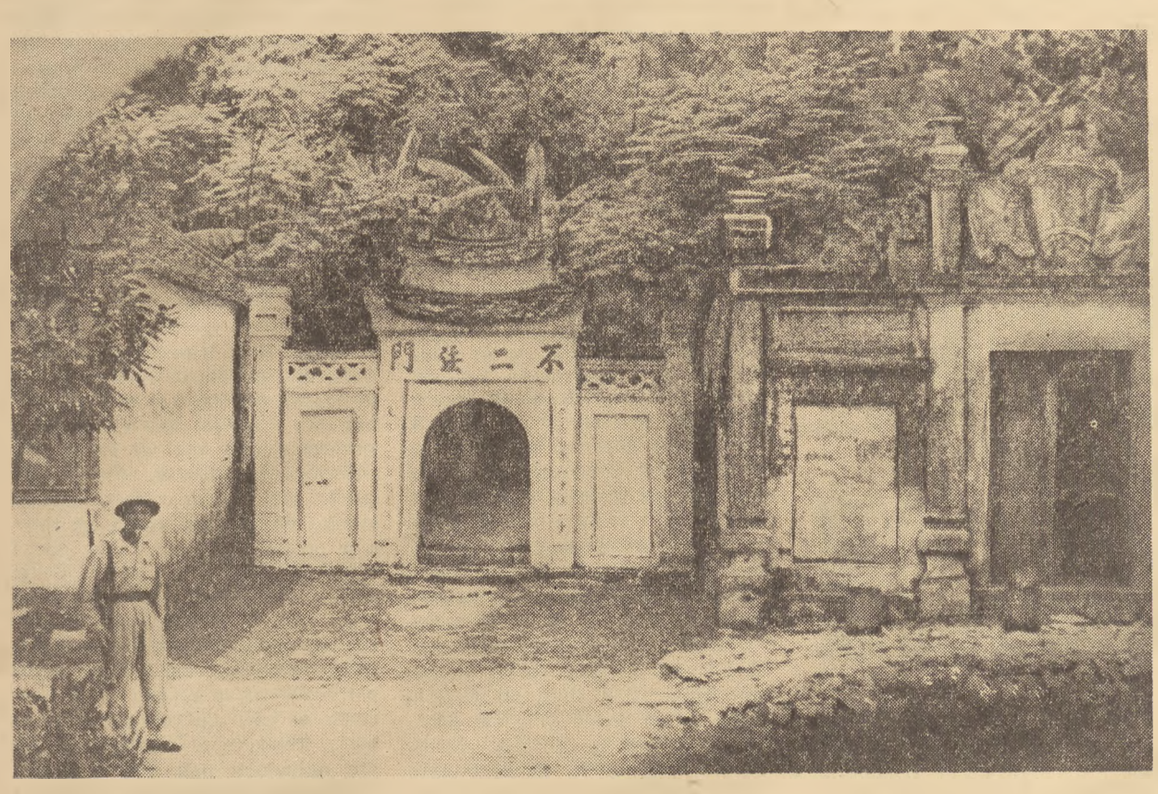

Wzrok mój zatrzymal się na ozdobnej bramie bogatego wiejskiego domu...

miasta wracali z pola, z lasu, nieśli na swych zczerniałych i wychudłych twarzach wzrok dziki, nieujarzmiony, spojrzenie, które mogło zdradzić, gdyby je zauważył szpicel obdarzony zmysłem psychologicznym.

Takie samo spojrzenie odnajdywałem nieraz na tych młodych, chłopięcych jeszcze twarzach wietnamskich żołnierzy, zresztą nie tylko żołnierzy. Rzeczywistość na każdym kroku przypominała nam, że przebywamy w kraju, który dopiero co wyszedł z potwornie krwawej i potwornie ciężkiej wojny.

Nikt jeszcze dziś nie zliczył strat tej wojny. Nikt chyba nie zna jeszcze dokładnie liczby zabitych, nie przeprowadzono statystyki kalek i sierot. Nie zliczono ofiar wśród cywilnej ludności. Nie obliczono poniesionych strat materialnych.

Naocznie tylko można się przekonać, iż wojna zniszczyła większość miast północnego Wietnamu, że lotnictwo nie oszczędzało ani wsi, ani kościołów, że na rozległych obszarach walk nie pozostał cały ani jeden kilometr torów kolejowych, ani jeden most. Zniszczone zbiory, zniszczone zapasy ryżu, zniszczone zapory wodne i systemy irygacyjne — to ślady najtrwalsze i najboleśniejsze, i do dziś dnia głód zagląda do niejednej ubogiej chatki wietnamskiej, choć broni już jej mieszkańców zorganizowany wysiłek gospodarczy całego aparatu państwowego.

Po bliższym przyjrzeniu się potwornym skutkom tej wojny i poznaniu lepiej warunków bytowania i walki w piekle dżungli — narzuca się pytanie: jak doszło, co zmusiło naród wietnamski do podjęcia i przeprowadzenia tak ciężkiej i tak długotrwałej walki?

Nim spróbujemy poszukać na to zasadnicze pytanie odpowiedzi, jeszcze jeden obraz z Wietnamu:

Jedna z wędrówek zaprowadziła mnie do wioski Thuy-khe, nad rzeką Day. Wznoszące się na skraju wioski dzikie skaliste wzgórza dawały w czasie wojny walczącym bezpieczne zaplecze. Toteż wieś liczy sobie sporą garść partyzantów i partyzantek, którzy porządnie dokuczyli komunikacji wroga. Wieś bowiem leżała na francuskim zapleczu frontu.

Wzrok mój zatrzymał się na ozdobnej bramie bogatego wiejskiego domu. Stał przed nim wartownik.

— Któż tu mieszka? — zapytałem.

— Teraz nikt. Właściciel był bardzo bogaty. Ziemia wszystkich chłopów do niego należała. On uciekł na południe.

— Dlaczego? Co mu tu groziło?

— On był bardzo niedobry. On śledził naszych partyzantów i wydawał ich policji. Przez niego zginęło tu kilkunastu ludzi.

Nie mogłem opanować odruchu zdziwienia. Opowiedziałem mym rozmówcom jaki los w czasach wojny czekał w Polsce zdrajców. Otoczenie przyjęło moje słowa ze spokojnym zrozumieniem. Najstarszy jednak wystąpił z wyjaśnieniem.

— Widzicie, przyjacielu, u nas to jednak było inaczej. Myśmy mieli rozkaz, by, gdy tylko to możliwe, oszczędzać krew naszych braci. Więc staraliśmy się go przekonać, że źle czyni. Staraliśmy się go uświadomić, że powinien być po stronie narodu. Dopiero gdy nasze wojska tu weszły, a on się nie poprawił, nigdy nie uchodzili za naród krwiożerczy czy mściwy.

Więc bilans krzywd, poniewierań, bólu i nędzy musiał być straszny, jeśli zmobilizował pod broń nie tylko młodzież, nie tylko kobiety, ale również dzieci i starców, jeśli porwał ich od pól i ołtarzy rodzinnych i pchnął na lata w najdzikszą głąb dżungli.

Dotykamy bolesnego zagadnienia ODPOWIEDZIALNOŚCI.

NIM poznałem Wietnam, znałem Francję i Francuzów. Mam dużo szczerej miłości dla tego kraju. Przyznaję, że z największą przykrością przychodzi mi pisać tu o Francuzach, jako o czyichś **wrogach**. Wiem też dobrze, że wszelkie podziały na **dobrych i złych** brzmią w takim wypadku sztucznie, choć znam dobrze to głębokie rozdarcie, jakie w narodzie francuskim spowodowała ta straszna, ta niepotrzebna wojna.

Za wojnę w Wietnamie odpowiedzialny jest jednak **system**, a nie poszczególni ludzie. System, który swą żelazną bezwzględną logiką prowadził od decyzji do decyzji, od represji do represji, wreszcie od katastrofy do katastrofy. Wiemy dobrze jak szeroki był odruch buntu przeciw tej logice, jak zażarta była walka o odwrócenie kolei losu tego konfliktu. Wiemy dobrze również jak dalece to wszystko było rozpaczliwe i bezsilne, ile konfliktów wywołało w sumieniach ludzi najróżniejszych środowisk francuskich.

Nie chcę tu więc nic uogólniać niesprawiedliwie i nie chcę mówić o odpowiedzialności za tę wojnę w kryteriach propagandowych sloganów. Twierdzę, że wojna w Wietnamie obciąża całym swym potwornym bilansem konto systemu kolonialnego. Nie specjalnie francuskiego systemu kolonialnego, lecz właśnie **całość** tego systemu.

Rozmawiałem na temat wojny w Wietnamie z bardzo wieloma Francuzami. Jeszcze w latach wojny mówiłem o niej z najszerszymi kołami francuskiej inteligencji. Na licznych spotkaniach międzynarodowych rozmawiałem z młodzieżą, z ludźmi pracy. Mówiłem jednak również i z wojskowymi, z zawodowymi politykami, z wykwalifikowanymi dyplomatami. Wyrok potępiający przebija mniej czy bardziej jasno z większości opinii. Na dnie jednak wielu rozmyślań tkwi ta nuta żalu:

„Przecież zrobiliśmy przez lata władzy tyle dla ludności Wietnamu, przynieśliśmy im cywilizację, kulturę, otworzyliśmy im nowe perspektywy. Czyż Wietnamczycy nie mogli się z nami pokojowo dogadać. Na pewno porozumielibyśmy się. Zaślepienie urzędników kolonialnych z jednej strony, a zacietrzewienie i wygórowane żądania po stronie wietnamskiej doprowadziły do sytuacji bez wyjścia!" — oto rozumowanie bardzo wielu Francuzów do dziś.

I to właśnie trzeba wyjaśnić przede wszystkim.

Polityka poszczególnych rządów francuskich, począwszy od samego de Gaulle, ponosi pełną odpowiedzialność za wybuch konfliktu — to pierwsza teza.

Brak tu miejsca, by ją szczegółowo udowadniać faktami historycznymi. Trzeba jednak stwierdzić, że jeszcze w pełnym okresie wyzwalania Francji spod okupacji hitlerowskiej zwyciężyła u przywódców polityki francuskiej zasada przywrócenia „status quo" w kolonialnym imperium francuskim. Jakichkolwiek nie używano by zwrotów dyplomatycznych w poszczególnych okresach rokowań — Wietnam, tak jak i całe Indochiny, miał pozostać kolonią, podzieloną na sztuczne twory państwowe, pozbawione nie tylko pozorów, ale i samej nazwy „niepodległość". Tendencje imperialno-kolonialne zwyciężyły bezapelacyjnie w kierowniczych kołach francuskich w Wietnamie i ostateczny wybuch wojny był świadomie przygotowywany i sprowokowany. Jeśli w gęstwinie wydarzeń z lat 1944—1946 można różnie interpretować poszczególne posunięcia jednej czy drugiej strony, to wymowa ogólna nie może być zakwestionowana przez żadnego bezstronnego obserwatora.

Stosunki kolonialne, panujące w Wietnamie były dla uświadomionej części narodu wietnamskiego nie do zniesienia — to druga teza.

Wielokrotnie słyszałem opinię następującą: popełniliśmy w Wietnamie oczywiste błędy polityczne i administracyjne. Mimo to jednak trzeba przecież przyznać, że Wietnam Francji niesłychanie wiele zawdzięcza.

Czy tak jest rzeczywiście? Prawdą jest, że w ciągu lat panowania Francja dała Wietnamowi swe piętno europejskości. Pobudowała drogi koleje, miasta, rozwinęła przemysł założyła mniej więcej nowoczesny system administracyjny, szpitalnictwo, szkoły. To wszystko prawda lecz za jaką cenę?

Rządy pruskie unowocześniły Wielkopolskę, ale czy jesteśmy im za to wdzięczni? Nie, gdyż odbywało się to przy jednoczesnym deptaniu naszej godności ludzkiej i narodowej. Tak samo było w Wietnamie. Byli kolonialiści ludźmi dobrymi i złymi na przemian. Wśród urzędników administracji było tak samo. Lecz system kolonialny musi rentować się, musi dawać dużo dochodów i nikt nie zaprzeczy, że Indochiny były długo tą złotonośną kurą. Za te dochody płacili kulisi na plantacjach swych życiem i krwią pod batem, co, niestety, potwierdzały nawet urzędowe raporty Ligi Narodów. Dzieło cywilizacyjne było kroplą w morzu potrzeb tego narodu. W wyniku wszystkich wysiłków 80% narodu trwało w analfabetyzmie. Głód, choroby, wyzysk i poniżenie to cechy rzeczywistości kolonialnej, których nie przezwyciężyły, bo nie mogły przezwyciężyć, ani szlachetne wysiłki poszczególnych rządców Indochin jak Doumera czy Sarraut, czy bezimienne poświęcenie księży, uczonych, lekarzy, nauczycieli, czy wielu innych uczciwych ludzi.

Nie ma podziału na narody stworzone do pracy i stworzone do bogacenia się, na stworzone do rządzenia i do słuchania. A tam przecież tak było.

Cena była za wysoka, świadczenia zbyt nikłe. Nade wszystko jednak każdy krok ku postępowi przypominał narodowi wietnamskiemu, iż suwerenność mu się należy. I musiał przyjść dzień, gdy jej ostatecznie i nieodwołalnie zażądał.

Polityka francuska w ciągu lat wojny uczyniła wszystko, by utrzymać Wietnam w stanie kolonialnego uzależnienia — to trzecia teza.

Poza miesięcznym urzędowaniem Leona Bluma na Quai d'Orsay, ministrami spraw zagranicznych Francji przez cały czas konfliktu byli na przemian dwaj ludzie — Georges Bidault i Robert Schuman, obaj z chrześcijańskiej MRP. Ministrowie wojny byli bardziej zmienni, ale teka kolonii była niemal bez przerwy również w rękach MRP, zwłaszcza w rękach p. Letourneau. Można więc mówić o stałej linii politycznej na odcinku Wietnamu. W tym okresie też konsekwentnie odrzucano wszelkie szanse porozumienia z przywódcami ruchu narodowego, wszelkie formuły kompromisowe, wysuwane wielokrotnie przez prezydenta Ho Chi-Minha, tak bardzo pragnącego uniknięcia niepotrzebnych ofiar i tak dalekiego od szowinistycznej demagogii.

Raz pchnięta naprzód machina wojny toczyła się już sama, pożerając życie i mienie ludzkie, pożerając budżet narodu francuskiego. Względy prestiżowe — tłumaczyli jedni. Nacisk wielkiej kolonialnej finansjery, wyjaśniali inni. Zobowiązania międzynarodowe, szeptali jeszcze inni. I tak dalej, a wojna trwała. Ginął w dżungli francuski korpus oficerski. Budżet państwa załamywał się raz po raz. Chwiały się rządy, burzyły się masy narodu a wojna trwała nadal. Dopiero w obliczu ostatecznej klęski pod Dien Bien Phu i uświadomienia sobie, że wbrew rozpaczliwym apelom ministra Bidault konjunktura polityczna świata nie pozwala już na umiędzynarodowienie tego konfliktu, znalazł się we Francji człowiek, który odważył się ogłosić upadłość dziesięcioletniej polityki francuskiej wobec Wietnamu. Był nim Mendès France.

Koła francuskie w Hanoi twierdzą nawet wręcz, iż zadaniem Mendès France'a było uratowanie kapitałów francuskich w Wietnamie przed widmem ostatecznej katastrofy. Wietnam przestał być rentowny!

Dlaczegóż ta przegrana? Wystarczy przejechać się parę tygodni po Wietnamie w porze gdy słońce zaczyna dopiekać, by móc dać z całą świadomością rzeczy odpowiedź najprostszą. Bo wojny w dżungli nie wytrzyma na dłuższą metę żadne wojsko europejskie. Tak, ale przecież przez dziesiątki lat dżungla ta była bezbronna, choć zawsze śmiercionośna.

Teraz dopiero ukazują się dwa ostateczne argumenty: bo wola walki była powszechna w całym narodzie wietnamskim; bo wojsko i polityka francuska nie miały w narodzie żadnych rzeczywistych sprzymierzeńców.

CZYTAŁEM wiele francuskich wspomnień z Wietnamu. Specjalnie zainteresowała mnie gruba książka pod ciekawym tytułem: „Czy trzeba porzucić Indochiny?" Autor, André François Mercier, poseł do Izby Deputowanych, odbył w czasie wojny inspekcyjną podróż po frontach Wietnamu i opisuje w niej swe wrażenia, pełne hurra - patriotyzmu i wiary w bliskie zwycięstwo.

W jego oczach, i chyba wszystkich, którzy jego optymizm podzielali, naród wietnamski składa się z samych przyjaciół Francji (co ma oznaczać oczywiście — przyjaciół systemu kolonialnego w Indochinach), a ruch narodowo-wyzwoleńczy składa się z garstki fanatyków, terroryzujących najspokojniejszą w świecie ludność. Niestety, ten nonsens długo musiał obowiązywać w gabinetach rządowych polityków. Tymczasem w Wietnamie bije w oczy powszechne zjawisko masowego narastania świadomości narodowej, ściśle powiązanej z głęboką świadomością społeczną w szczególności na wsi.

Obawiam się, że we Francji do dziś dnia, nawet w kołach skądinąd bardzo rozsądnych politycznie, nie doceniano całej głębi zaszłej w Wietnamie przemiany świadomości społecznej, a co za tym idzie — narodowej.

W przeciwieństwie do pana posła Mercier wszystkie szczere sprawozdania z Wietnamu podkreślały samotność francuskich oddziałów zagubionych w morzu wrogiej ludności, pośród nieubłaganie wrogiej przyrody. Wystarczy zresztą spojrzeć na opuszczone dziś bunkry i forty, rozsiane po najdzikszych okolicach, by wyobrazić sobie, jak się mogły czuć pod tym bezlitosnym słońcem, czujne na każde drgnienie gęstwiny, spędzone z odległych zakątków świata posterunki!

Skąd było tam brać sprzymierzeńców? Ci, którzy nimi w istocie zostali — czy to separatyści z Kochinchiny, czy popleczni cesarza Bao Daia, czy kontrrewolucja katolicka spod znaku biskupa Le Huu Thu, byli w swej ogromnej większości także wrogo nastawieni do okupanta.

Najróżniejsze kalkulacje tylko powodowały, że ci „sprzymierzeńcy" liczyli, że cele swe osiągną za plecami wojsk francuskich, drogą szantażu na słabnącym przeciwniku. Mieli to być „ci trzeci, co korzystają". Wszystkie te intrygi skończyły się jedną wspólną katastrofą.

Taka jest, wydaje mi się, uczciwa i obiektywna prawda na tle atmosfery, w jakiej zaczęła się i toczyła ta najbardziej bezsensowna i okrutna wojna.

Z tych faktów jednak bynajmniej nie wynika jakaś ostateczna przepaść między wyzwolonym narodem Wietnamu a Francją. Francja zbyt dobrze uświadamia sobie właściwy charakter „brudnej wojny", by, poza garstką fanatyków czy bankrutów, marzyć o odwecie.

W Wietnamie nie spotkałem śladów frankofobii. Rzecz oczywista, że dziś pojawienie się Polaka będzie tam znacznie radośniej przyjęte, niż Francuza. Niemniej jednak

Dziewczęta z bronią w ręku dorównywały starym doświadczonym żołnierzom.

imię Francji zachowało w Wietnamie cały swój prestiż, i samo to jest dowodem, że jej dzieło, mimo wszystko, zachowało tam także znamię wielkości francuskiego narodu.

Wietnamczycy umieli odróżnić okropności korpusu ekspedycyjnego i odpowiedzialność polityków od postawy narodu francuskiego. Wietnamczycy potrafili również docenić wszelkie wartości kultury francuskiej i dziś, gdy nie ciążą już na niej posądzenia, iż przemyca w sobie zasady kolonializmu, inteligencja Wietnamu pełniej jeszcze i swobodniej będzie mogła sięgać do tego skarbca.

Czym na te nastroje odpowie jednak polityka francuska. Długoletni rzecznik polityki porozumienia, szef misji francuskiej w Hanoi, p. Sainteny, wydaje się chwilami, mimo swego „mendesowego" realizmu, raz jeszcze porzucony na pastwę niepewnych wydarzeń jutra. Trudno również dostrzec jakieś realne zarysy programu owego kierunku na porozumienie. Na pewno wszyscy przyjaciele Francji w Wietnamie chcieliby dostrzec dowody, iż postawa owa nie jest tylko dalszą próbą ratowania co się da z minionej przeszłości kolonialnej po tej, czy może nawet po południowej stronie siedemnastego równoleżnika?

Czy politykę francuską stać dziś na prawdę posiadania na Dalekim Wschodzie własnej postawy, własnego oblicza? Rzeczywiście, dużo jeszcze niewiadomych ciąży nad misją Sainteny, tego człowieka, który był współtwórcą zerwanych przez d'Argenlieu układów z 6 marca 1946 r. i świadkiem wszystkich kolejnych etapów katastrofy.

Czy opinia francuska, która tak mocno umiała występować przeciw wojnie w Wietnamie, będzie dziś umiała sformułować i obronić zarysy nowej, pozytywnej polityki, polityki pokojowej współpracy ze zwycięskimi, demokratycznymi siłami Wietnamu?

Oto pytania na czasie w rocznicę układów genewskich o zawieszeniu broni.

Wojciech Kętrzyński

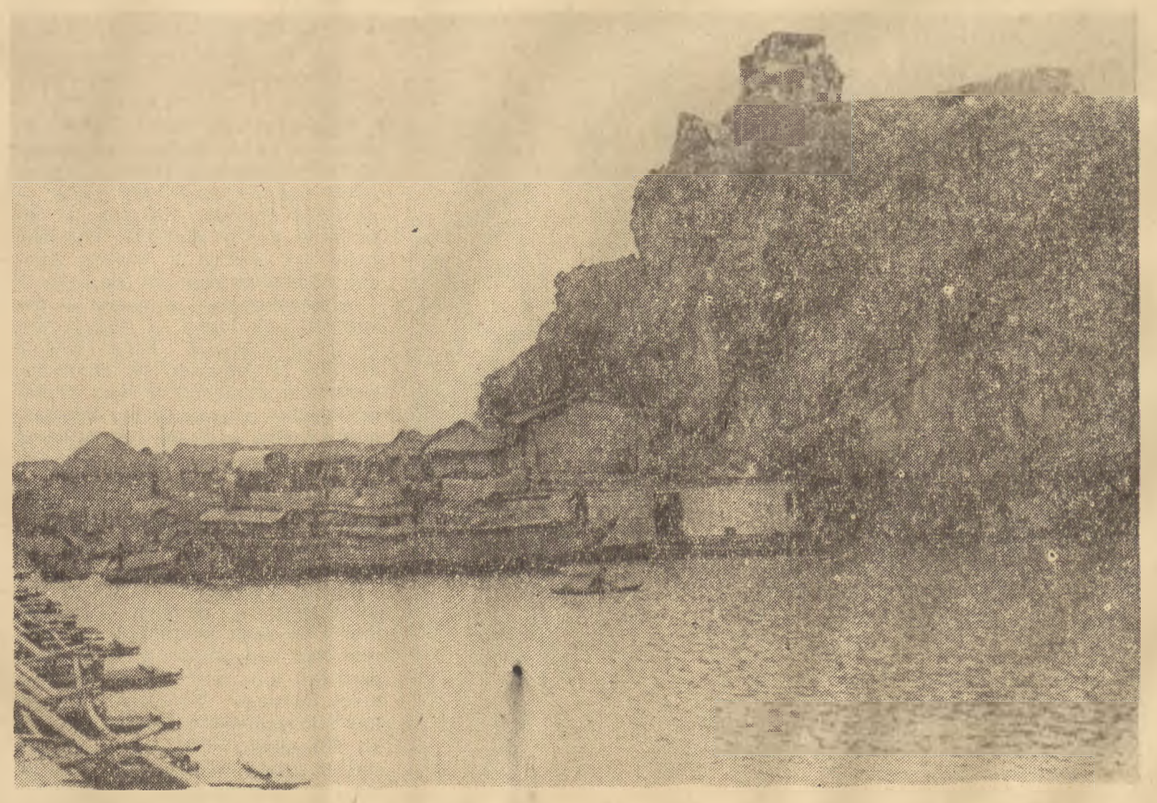

Nowoczesna, żelazobetonowa twierdza francuska w Nim-Binkh. Została zdobyta szturmem przez garstkę partyzantów, którzy wdarli się od strony rzeki po stromej, prostopadłej ścianie skalnej.

ZGODA. Odwiedzę twojego Alana Robert jadąc do Terneray. Dobranoc, doktorze!

Pan Lamy powiesił słuchawkę odsłaniając tym ruchem zegarek na ręce: ósma godzina... „Już!... I dzisiaj także Gerard będzie musiał na mnie czekać...“ Powtórzył półgłosem imię swego syna — Gerard... — potrząsnął głową i zamknął oczy. Na tej twarzy zastygłej ze zmęczenia położył się jakby cień: wydawało się, że starzał się w oczach. Ze słynnego uśmiechu zostały już tylko głębokie zmarszczki.

— Gerard — powtórzył. — Mały Gerard...

Krok strażnika oddalał się bez końca, dudniąc w jednym pustym korytarzu za drugim. Słychać już było tylko o kilka pokoi dalej niestrudzoną maszynę do pisania z jej dzwonieniem i brutalnym nawrotem po każdym wierszu...

Ktoś zapukał do drzwi, ale tak nieśmiało, iż sędziemu wydawało się, że to ręka dziecka. „Dziecko, o tej godzinie?...“

— Proszę wejść!... A, to pan, mecenasie?

— Jak pan będzie mnie nazywał „mecenasem“, ja będę do pana mówił „panie prezesie“! — odparł nowoprzybyły ukazując się w świetle.

Młody, lekko zgarbiony, włosy w nieładzie, okulary w metalowej oprawie na nosie kształtu trójkątnego żagla, wolteriański uśmiech między głębokimi fałdami, jak w dwóch nawiasach...

— Co się panu nie wiedzie, Darrier? — zapytał nagle pan Lamy zwracając ku niemu swój prosty, chłopski profil.

— A skąd pan wie, że...?

— Z pana sposobu pukania do moich drzwi!... — przestań już uśmiechać się, mój mały. Wcale nie masz na to ochoty!

— To prawda.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Każdy z nich nosił na twarzy obraz swojego dnia, jak maskę. Adwokat powoli zdjął okulary i przesunął po oczach chudą ręką bez obrączki. Gdzieś tam maszyna do pisania, uparta jak mrówka i hałaśliwa jak konik polny, wypełniała dalej swoje zadanie.

A Darrier nagle przygładził swoje zwariowane włosy odnajdując dziecięcy uśmiech:

— Idiota jestem, oto wszystko! Porywam się zawsze na coś, co przewyższa moje środki... Nie! — sprostował — tylko moje siły... Przychodzę więc tutaj po trochę śmiałości, trochę pewności!

— Godzina jest mało odpowiednia — rzekł pan Lamy głuchym głosem, ale uśmiech jego wrócił już na swoje miejsce. — Jak się ma... — zawahał się sekundę szukając w swojej galerii dziecinnych twarzy — jak się ma Marek?

— Dobrze! Teraz dobrze — ale początki...! Ach! — ciągnął śmiejąc się młody człowiek — sędziowie powinni sami być kuratorami oddanych pod dozór dzieci, zanim każą tym biedakom grać na ochotnika role chrzestnych ojców, a raczej wychowawców w rodzinach młodych przestępców!

— Sędziowie powinni by... Pójdę dalej niż pan! Sędziowie powinni by przynajmniej raz siedzieć w więzieniu! — Pan Lamy przejechał wskazującym palcem wzdłuż siwego kosmyka, który jak dziwaczna rzeka dzieli jego czarną czuprynę. Wiódł palcem po jego krętym biegu nie myląc się nigdy: „dochodził do źródeł“. Cały Sąd znał dobrze to przyzwyczajenie. — A przecież — mówił dalej — rodzice niedowierzając kuratorowi zapominają, że nie dawniej niż pięć lat temu zabrano by im chłopaka!

— O, rodzina rozumie doskonale, albo udaje, że rozumie! Ale sam chłopak uważa się za szpicla!...

— Marek był oporny?

— Oczywiście! — odpowiedział z rodzajem dumy. — On ma takie poczucie honoru i wolności! I nienawidzi gliny, odkąd spędził noc na posterunku i kilka dni w sądzie, za to, że włóczył się po ulicach o czwartej rano! Ale jak się ma ojca, który się upija, i matkę, która stoi na rogu...

— I to jedno z powodu drugiego, ale kto zaczął? I jedno drugie prześciga, bo żyje ich pięcioro w jednej izbie!

— Już tylko czworo! Dziewczyna jest sama...

— To prawdziwy postęp — rzekł sędzia gorzko. — Ach, Darrier, Darrier, czyja to wina?

Wstał i zaczął chodzić ciężko z głową przechyloną jak zwykle na prawe ramię. „Starzeje się!“ — pomyślał adwokat. — To niesprawiedliwie: starzeje się dla innych...“ Ale pan Lamy skierował na niego swój ostry wzrok:

— Kiedy wypytuję chłopca, nie przestaję w głębi duszy obwiniać jego rodziców; ale kiedy z kolei ich wypytuję... ach, uważam nas wszystkich za winnych! — Po chwili podjął: — Niech mi pan opowie o Marku. Oswoił go pan?

— Od momentu kiedy za pana zgodą dałem mu do przeczytania i podpisania moje kwartalne sprawozdanie z jego zachowania. Właśnie przyniosłem panu ostatnie: sam je poprawił!

— Sam poprawił? Niech pan pokaże!.. Zachowanie... Tak... dobrze... Nauka... nienadzwyczajnie, co?

— Właśnie dlatego wstąpiłem do pana: dziś wieczorem mam zebranie bandy w Carrières... Zdaje mi się, że nigdy z tego nie wybrnę!

— Ja już dwanaście lat to sobie powtarzam, Darrier!

— Pan już czegoś dokonał, panie sędzio: wszyscy chłopcy przez pana uratowani wyszli na ludzi, może pan mieć wgląd w ich życie! Podczas gdy ja...

— Pan? — Pan Lamy położył mu na ramieniu rękę, która była bardzo ciężka, a jednak młody człowiek miał uczucie, że ta ręka przywraca mu siłę. — Wspólnie ze swymi przyjaciółmi odkrył pan Myśl Wieku — rzekł z uśmiechem. — Jak zawsze, wystarczyło spojrzeć, ale spojrzeć nowymi oczyma. Chłopcy, których nędza wygnała z domu, żyją w bandzie, na ulicy, mają swego szefa, swój kodeks... Trzydzieści tysięcy chłopców, których „ośrodkiem wychowawczym“ jest ulica... Komisarz Priolet twierdzi, że oni zbierają się, żeby kraść. Nie! oni kradną, jak się zbiorą — to całkiem co innego! Ja jednak dostrzegam w tej bandzie, nawet gdy robi coś złego, wszystkie zarodki dobrego: solidarność, sprawiedliwość, wierność i poczucie honoru, poczucie danego słowa! Przeniknąć do tej bandy, oto wielka myśl! Stać się ich kamratem, przekształcić ich wolne chwile, zrobić z nich drużynę przyjaciół...

— Tak, ale zło także kiełkuje w dobrem!

— Jak zawsze!

— Moje chłopaki wpadają w fanatyzm dla swego szefa. W Carrières Kaid ma taki wpływ, że unicmożliwia mi...

— Kaid?

— Piotr Merlerin.

— Poczekaj pan!... To jeden z moich klientów! — rzekł sędzia wyciągając rękę po jakiś segregator.

— Niech pan nie szuka! Uderzenia i rany, półtora roku temu... Postawił go pan przed sądem, aby nim wstrząsnąć: to właśnie, niestety, podniosło go w oczach innych! (Pan Lamy uczynił ruch wyrażający bezsilność) Gdybym mógł odsunąć Kaida, Marek byłby uratowany! — kończył głucho adwokat.

— Niech pan posłucha: raz zastałem go jak pisał klęcząc na ziemi, a zeszyt i kałamarz umieścił na krześle, jedynym meblu, jaki miał do dyspozycji!

— Co?

Pan Lamy drgnął odwracając kartkę; na marginesie napisano sztubackim pismem: „Zrobiłem draństwo w sklepie z papierami: gwizdnąłem zeszyty. — Forgeot Marek“.

— Przepada za nowymi zeszytami — wytłumaczył szybko adwokat. — Więc oczywiście...

— Oczywiście!... Stosunki...

GILBERT CESBRON

BEZPAŃ

— Nie, Darrier!

Sędzia przemówił tak stanowczo, że Darrier przyjrzał mu się: trzy pionowe zmarszczki przecinały czoło, a prawe oko, na pół przymknięte, błysnęło... „Jak może się wydawać taki twardy, on, który zawsze...“

— Nie, i jeszcze raz nie! W Carrières trzeba utrzymać dla bandy szefa, którego sobie wybrała, i działać wspólnie z nim. I Marek nie powinien odrywać się od wspólnoty, żeby przywiązać się do pana: to by go zdeklasowało. Niech pan uważa, bo to byłaby podwójna porażka!

— A jeśli nie potrafię nawiązać kontaktu — rzekł młody człowiek podnosząc się. Prawie krzyczał:

— O ileż większa porażka!... I jak możemy mieć z nimi kontakt braterski, my, którzy mamy mieszkania, jesteśmy odżywieni, od dziecka kochani, my, którzy nie cierpieliśmy?

Pan Lamy powstrzymał go ruchem ręki:

— Jest i inne cierpienie — powiedział cicho.

Darrier zobaczył na tej białej ręce dwie obrączki: sędziego i jego żony, która umarła przed dwoma laty. „...inne cierpienia!...“ Chciał się usprawiedliwić. Tamten przeczuł to widocznie, bo rozpoczął bardzo szybko:

— Właśnie dlatego, że pan wątpi w siebie, dlatego, że pan wstąpił do mnie, dlatego, że pan jeszcze teraz uśmiecha się niepewnie, powiedzie się panu, jestem tego pewien, choć mogłoby się to wydawać nieprawdopodobne! Te rzeczy jedynie są ważne: miłość, rozłąka, złe sumienie...

— Czy to... chrześcijanin jest tego pewny, czy sędzia dla małoletnich?

— Jeden pochłonął drugiego, Darrier.

Przysłonił sobie oczy ręką, tak że zmęczona twarz pozbawiona blasku sprawiała wrażenie twarzy starca. „Oczy również pochłonęły resztę“ — pomyślał Darrier. Maszyna do pisania w końcu zamilkła. Poważny zegar raz uderzył w pustym gmachu. Adwokat podniósł się.

— Równocześnie z panem — powiedział pan Lamy — ruszają wozy policji sądowej. Będą pewnie zgarniać włóczących się chłopców, każą im spędzać resztę nocy w komisariacie, posprawdzają identyczność i odeślą do domu... Co za akcja wychowawcza, prawda? Pana robota będzie lepsza... Odwagi!

Podał mu nagle rękę, która przysłaniała oczy, a uśmiech i spojrzenie dziwnie przywróciły młodość jego twarzy.

Darrier wyszedł, minął korytarze-poczekalnie o zimnym oświetleniu, o ścianach pobrudzonych przez tyle rąk wilgotnych z niepokoju, przeszedł koło groźnych drzwi: Gabinet Sędziego Śledczego... Drugi Pokój Przesłuchań... Jeszcze za krótko był adwokatem: ciągle jeszcze stał po stronie oskarżonego, po stronie tego, którego ściska w brzuchu, a nie po stronie togi! Dla niego to byli ludzie uwięzieni, niespokojni, nie klienci... „Właśnie dlatego uda mi się! — powiedziałby pan Lamy...“

Iglica kaplicy była już oświetlona: koło tych czarnych budynków, pod którymi w piwnicach było o tej porze już tylko kilku więźniów, budynków, których wszystkie ciemne meble przepełnione były papierami, których sale o zamkniętych oknach słyszały dziś jeszcze tyle kłamstw i gróźb, ukrywały tyle nienawiści i strachu, lśniąca wieżyczka wystrzelała jak krzyk boleści obłożnie chorego. Darrier przyśpieszył kroku; śpieszył się, żeby wyjść, odetchnąć swobodnie...

Mijając bramę spotkał syna pana Lamy, Gerarda, który mu się ukłonił.

— Idziesz po ojca? Rzeczywiście jest późno...

— Nie — odpowiedział Gerard czerwieniąc się — przechadzałem się. Wiem, że tat... mój ojciec do późna jest zajęty.

Darrier zauważył, że jego prawe oko także jest półprzymknięte i że pochyla głowę na ramię.

— Jak się ma Marek? — zapytał nagle chłopiec

— Dobrze! A... ty go znasz?

— Ojciec mi opowiada o nich wszystkich... Ja mam wielu braci — dodał tak dziwnym tonem, że adwokat nie wiedział co odpowiedzieć. (Cień uśpionej gałązki którą wiatr drażnił, tańczył u ich stóp). — Dobranoc panu!

AUTOBUS dowiózł Darriera na krańce Paryża, gdzie nie było już śladu oświetlonych szyldów, kawiarni przelewających się na chodniki, wysokich domów z kamienia. Piechotą dostał się do ciemnych rejonów, znaczonych kolorem czarnym na mapach określających okolice zamieszkałe i na mapach Ministerstwa Zdrowia: do królestwa nor, gruźlicy i przestępczości. Ile razy szedł już tą drogą, prawie równie brudną i rozpaczliwą w dzień jak w nocy, odkąd powstała banda! Od tego zimowego wieczoru, kiedy szukając Marka znalazł przypadkiem w piwnicach opuszczonej fabryki tych trzynastu chłopców siedzących na jakichś zardzewiałych maszynach, wśród stert metalowych opiłek, a między nimi chudego kota. Jakie milczenie zaległo, kiedy wszedł! I z jakim zakłopotaniem Marek przedstawiał go tym chłopcom: „Kolega z Paryża...“ Od tego czasu, dzięki innym ogniwom Przyjacielskiej Grupy, typografa Klaudiusza i ślusarza Franka, prawie oswoił bandę...

Ale nie! po co się łudzić? Czyż można porównywać z bandą z ulicy Austerlitz czy Arènes? Tam początki były łatwiejsze, a może bardziej szczere. Jeden z towarzyszy, Maurycy, zaczął bez słowa grać w piłkę z chłopakami z Arènes. Przechyliwszy za każdym razem szalę zwycięstwa na stronę swojej ekipy, wdziewał kurtkę na spoconą koszulę, potrząsał ręce chłopaków i bez słowa odchodził. Jednej soboty chłopcy sami zaczęli mówić o ekipie, boisku, zaprawie... Teraz banda rozpadła się: na jedenastu członków ekipy ośmiu ocalonych i trzech gangsterów, zamiast jedenastu uliczników, a więc partia wygrana!

Na Austerlitz jakiś smarkacz żebrał grając na akordeonie. Jakub wziął mu go z ręki i zagrał w rytmie piosenki „Musette“ *Kryształowe Perły:* franki po prostu płynęły... Smarkacz, nie przerywając milczenia, zaprowadził go do swojej bandy. W krótkim czasie utworzyli chór, na Wielkanoc zorganizowali wycieczkę, zbudowali barak — i koniec z szynkiem! Ta banda trwa nadal i przyciągnęła innych chłopców; ostatniej niedzieli dwudziestu dwóch poszło razem na wieżę Eiffla — był świetny dzień!

Ale w Carrières Darrier, Klaudiusz i Franek szamotali się jeszcze we mgle. Było tam około piętnastu chłopców od lat dwunastu do siedemnastu, z których jedni pracowali nad siły i zawsze byli ogłupiali ze zmęczenia, inni byli już bez pracy; niektórzy, jak Marek, chodzili do szkoły, ale w nocy włóczyli się od szynku do szynku. Jeden ze smyków naganiał klientów dla matki i brał procent z obu stron. Drugi musiał w czasie okupacji spać przez kilka nocy z trupem swego dziadka; od tego czasu miewał ataki histerii. Zainteresowani kamraci przypatrywali się z rękami w kieszeniach — bo i cóż innego mieli robić?... Trzeci miał niezłe powodzenie naśladując jak brat i siostra się kochają, kiedy sądzą, że pozostali czterej mieszkańcy pokoju pozasypiali. Wielkim powodem do sławy szefa bandy, Kaida, poza występem przed sądem, było to, że za tysiąc franków i oczywiście prawo ograbienia go — sprzedał zabitego żołnierza niemieckiego, którego przechowywał w słynnej suterenie. Oto za kogo i przeciw komu walczył Darrier oraz Klaudiusz i Franek, z którymi miał się spotkać dziś wieczorem w Café des Négociants. Ach!

ANNA POGONOWSKA

Młodość okupacyjna

(fragmenty poematu)

III

Pragnę, o różach pragnę mówić zawstyazona —
Śmierć dławiła, lecz żyłam, a gdy się nie kona —
Pozwólcie mi wspominać róże mej młodości.
Kwitły wśród przejrzystości, z wężowiska ostrych
Cierni krwią wybuchały. Płakałam nad niemi
Gdy brzaskiem sierp zielony wędrował zbladłemi
Gwiazdami. Dotykałam obłoku trwałego
Snu nie lotnego, drżenia zniszczonego.
Za kilka dni pozbieram płatki rozsypane
Lecz teraz niech jak wieczność naprzeciw niech staną
Zimną rosę uniosę ustami twardemi
Piękno zadrży nietknięte wargami mojemi.

Kwitły bzy. Stary wielki żywopłot, zaklętą
Mur, płonął fioletowym skrętem
Linii zamykającej sad w którym owoce
Zaczynały się supłać. Białe były noce
Wtedy od światła którym kwitnęły kasztany,
Jaśmin jak brzask się burzył, śnieżył powściągany
Głosem ciemności. Zgasłe bzy wołały wonią
Kiść wróżebną schylając nad dziewczyny skronią.
Egzaltacja! — płomieniu niemodny, jaskrawy
Który twarz wyostrzałeś moją wśród zabawy
Dla gimnazjalnej młodzieży — na lekcjach
Dławiłeś mnie — że często nie była dorzeczna
Odpowiedź moja kiedy okrągława panna
Polonistka profesor, ta która pisała
Na akademie wiersze — wąsko uśmiechnięta
Zapytywała czemu postać Skargi piękna?

Egzaltacjo — przede mną zaczerniałaś przestrzeń
Kaplicy — gdy klęczałam wśród szeptań i szemrzeń
Fartuszków i warkoczy. Spowiedź już odbyłam.
Że nie wierzę — wyznałam i jakże wierzyłam.
Z czerni która broczyła w zamkniętych powiekach
Wywołałam Boga, który na mnie czekał.

Więc — w bzach — już smukłych ciałem — już gorącą twarzą
Gwiazd złotych dotykałam jak ci, którzy marzą
Oderwana od ziemi.

A ryły ją działa
Ocean ryczał. Nicość miasta przyjmowała.
Spojrzała na mnie.

Oto warkot samolotu
Nadbiega. Zdarta woń już. Zgwałcony niepokój
Rozkwitania. Sine bzy. Jak trup brzoza blada.
Sztywno stoją. A liście krzyczą „Paryż pada“.
Wyroje liści — one płakały, wołały
Oceany zielone, strugi, źródła wiary

rys. GABRIEL RECHOWICZ

SKIE PSY

żeby tylko wszyscy chłopcy stawili się na spotkanie! Ile godzin minęło na szukaniu i zbieraniu ich! „Zapomniało się... Komiczni jesteście, tak jakby nie było nic innego do roboty!“ Ach! żebyż chociaż dzisiaj...

Darrier podniósł oczy: niebo jak z czarnego marmuru ciążyło nad przedmieściem o niskich domach, o drzewach spóźnionych w rozwoju. Rzadkie latarnie uliczne zdawały się spać stojąc. Opustoszałą ulicą przemknął szybko samochód, a kiedy znikły czerwone światełka i umilkł warkot, nastała trwożna cisza i ciemności w znieruchomiałym, otwartym mieście. „To śmiertelny sen!“ — pomyślał Darrier bez żadnego powodu, ale powtarzał słowo: sen... sen... a strach zmieszany z rozpaczą tworzył w nim próżnię. Niewiele brakowało, żeby zawrócił z drogi. „...Dlatego że właśnie w tej chwili uśmiecha się pan niepewnie, powiedzie się panu!“ Pan Lamy chyba myślał o nim w tej chwili... Poszedł dalej.

DARRIER pchnął drzwi szynku i osłupiał: Klaudiusz i Franek byli sami... A jednak nie! mały dwunastoletni Manuel, oparty zgiętą ręką o lepki stół, a policzkiem o rękę, spał otoczony rojem much:

— A gdzie reszta?

— Reszta? — Franek wzruszył ramionami. — W kinie, na kiermaszu, na zabawie, na spacerze...

— Nawet nie! U nich to tak: „Co robisz wieczorem?... Chodźmy do Doda, może zastaniemy tam Lolka!... Siostra Marcela ma nową koleżankę, wiesz?...“ i tak dalej.

— Słuchajcie, moi kochani — rzekł Darrier zdejmując okulary — dziś albo nigdy. Odpowiedzcie na moje pytanie: czy warto potrudzić się, żeby z dwunastu ocalić trzech?

— Czy warto? — Klaudiusz uderzył ręką w stół. Mały Manuel otworzył jedno oko, oparł się drugim policzkiem o drugą rękę i zasnął z powrotem. — Żebyśmy tylko mieli barak, to byś zobaczył! Lucjan poddał wspaniałą myśl: stary wagon kolejowy... Można by go mieć za darmo!

— Tak, ale gdzie go postawić?

— Patrzcie — zaczął Franek.

Z przesadną troskliwością rozłożył mapę wschodnich przedmieść Paryża i grubym palcem wskazał różowy trójkąt:

— Tutaj! To jest własność miasta, Służby Robót Publicznych. Przy odpowiednich staraniach...

— Ja się tym zajmę. Ale barak to nie wszystko! Konieczna jest także skrzynka, do której można by wrzucać oferty na zatrudnienie. Sprzed nosa uciekają nam propozycje pracy! Przedwczoraj Marcel miał aż trzy i nikt z nich nie skorzystał. W tym samym czasie Benek, Alfred i Lolek są bez pracy, a Lucjan tłucze się całą godzinę, żeby się dostać do swojej budy. Skrzynkę... I trzy czy cztery pokoje w mieście, żeby umożliwić chłopcom pracę. Dwóch sypia na klatce schodowej...

— Trzech! A wielki Jakub śpi od paru dni w szynku na stole, bo u niego w domu jest nowy „wujaszek“, a on ma do tego wstręt!

— A więc ośrodek — podjął Darrier. — Ośrodek i skrzynka na oferty...

— Za szybko idzie u ciebie ta organizacja — przerwał nie uśmiechający się nigdy Franek. — Jeżeli na przykład ten twój ośrodek będzie daleko od ich ulic, chłopcy będą straceni!

— Dać im mieszkanie i ubranie to jeszcze nie wszystko — ciągnął dalej Klaudiusz, który tak wierzył w to, co mówił, że zaczął się zacinać. — To jest rozumiesz... to można by nazwać pokusą amerykanizacji!... A tu konieczne jest — co, Franek? — żeby... jakby to powiedzieć?... żeby im stworzyć ciepło, żeby im było dobrze razem! Jakiś system sam później przyjdzie, to już będzie łatwe!

„Tak — pomyślał Darrier — Franek uosabia wiarę, Klaudiusz nadzieję, a dla mnie istnieje tylko dobrze zorganizowana dobroczynność... Ach! za dobrze mnie wychowali!“

— Macie rację — powiedział. — Ale dziś wieczorem...

— Przyjdą — uspokoił go Franek napychając olbrzymią faję. — A nie mówiłem?... Cześć, Lolek! Cześć, Jakubisko! Przyszedłeś, Lucjan, to klawo!

Lolek: wąskie czoło, dwa zepsute zęby na przodzie; Jakub: twarz o nieokreślonym wieku rzeźbiona z każdym miesiącem wyraźniej nieubłaganym palcem gruźlicy; Lucjan: biały, fularowy szalik, jasne kosmyki, które układa w fale przy pomocy ocukrzonej wody; wszyscy trzej z rękami w kieszeniach.

— Cześć! Nikogo więcej nie ma?

Od razu zaczęli cofać się do wyjścia. Darrier zaniepokoił się, a Klaudiusz wyciągnął z kieszeni jakąś kopertę:

— Powoli, chłopcy! — To jego ulubione wyrażenie i ostatnia pozostałość alzackiego akcentu. — Chodźcie tu!

Wydobył i zaczął rozdawać legitymacje z nagłówkami Grup Przyjacielskich. Wszyscy od razu odmłodnieli, jakby mieli po dziesięć lat... „Czy wystarczy dla wszystkich?... Cholera, miałem fotografię i wczoraj dałem... Czy trzeba się podpisać drukowanymi literami?... Czy można piórem kulkowym?... Sekretarz Generalny, któż to jest?...“

— A właśnie, ja... Spokojnie, powoli, chłopcy!... Myślę, żeby Lolek...

— Co ty na to, Lolek?

— Ja...

Zrobił się czerwony jak burak. „Sekretarz Generalny, tam do licha!...“ Alfred i Benek, którzy weszli tymczasem z trzecim jeszcze koleżką, popatrzyli innym okiem na Lolka: bezrobotny Lolek, nędzarz — i gówniarz, co tu mówić! — Generalnym Sekretarzem... No, dobrze!... Teraz dopiero obudził się mały Manuel z zapytaniem, która godzina i co się dzieje. — Cześć!

— Mógłbym zawołać mego brata do tych legitymacji — zaproponował Dodo. — Ma klawe pismo.

— Cco tam — zająknął się Lolek — p...po co mi twój zasr... brat, sam potrafię pisać, bez kawałów!

— O nie! — Franek po raz siódmy zapalił gasnącą wciąż fajkę. — Nikt już nie może stąd wyjść; dzisiaj mamy zbyt ważne sprawy do zdecydowania... Tym gorzej dla nieobecnych!

— Nie! — szepcze mu do ucha Darrier — nic solidnego nie możemy zbudować w nieobecności Kaida...

— On naumyślnie tak robi!

— Pójdę po niego. Podpisujcie tymczasem legitymacje, pomówcie o wagonie, o gruncie... Przysięgam, że go przyprowadzę!

OTO Darrier sam na czarnej ulicy. — Sam? Nie, czuje się jakby zamieszkały. Pięści zaciśnięte, zęby zaciśnięte, dziwny uśmiech w dwóch nawiasach... Dzisiaj nic nie wstrzyma jego kroków. „Dzisiaj albo nigdy!“ To jego własne słowa: przed chwilą — słowa rozpaczy; w tej chwili — słowa

pewności. Mógłby prawie za węchem trafić do nędznego mieszkania rodziców Marka, przylepionego do muru otaczającego skład odpadków. Chłopiec powiedział mu kiedyś: „Tutaj wyrzucają odpadki, a ja do nich należę...“ Darrier słyszy z daleka, jak pani Forgeot ochrypłym głosem łaje jakieś dziecko czy inne stworzenie. Kiedy spostrzega adwokata, zmienia ton: zaczyna mówić „głosem dla policji“, czym robi mu przykrość.

— Mój syn powinien tu być... Nawet nie skończył odrabiać lekcji!

— A gdzie biedak ma je odrabiać?

— To niech nam pan znajdzie inne mieszkanie!... O, przepraszam!

Usprawiedliwia się w chwili, kiedy Darrier wyrzuca sobie głupie pytanie... Z najciemniejszego kąta jedynej izby słychać chrzakanie niemowlęcia.

— Mój mąż jest jeszcze... chory! — mówi bardzo szybko.

— Do widzenia, pani Forgeot!

To wszystko, czym może ją tego wieczora obdarzyć: jej nazwisko. „Do widzenia, pani Forgeot!“ — to jedyny prezent, jaki może ofiarować tej kobiecie upokorzonej, o nieokreślonym wieku, której niebieskie spojrzenie zachowało jeszcze wyraz dumnego buntu.

Skręca w jedną ulicę, potem w drugą; nieludzki smród zmniejsza się. Staje przed domem, w którym mieszka Merlerin (Kaid). „Nie, nie ma go w domu... Nie, nie wróci przed północą; o tej porze jego starszy brat pójdzie do pracy i będzie mógł ustąpić mu łóżko...“ Darrier idzie dalej. Przed popękanymi drzwiami stoi mały chłopiec i zaczepia go: „Halo, jestem sam w domu! Mama wyszła, a mały śpi...“ Dalej adwokat usiłuje rozdzielić dwóch bijących się smarkaczy: „Ale, psze pana, my bawimy się w rozwód!...“

Darrier wstępuje wszędzie, gdzie może. Idzie z knajpy do knajpy, od Mimile do Piotrusia: „Czy nie widzieliście Kaida? Nie widzieliście Marka?...“ Mija milczące grupy północnych Afrykańczyków, szarych, niewzruszonych i podobnych do siebie jak te domy. Instynkt prowadzi go w końcu do suteren fabryki, gdzie po raz pierwszy... Nie omylił się! Jednym rzutem oka ogarnia dwóch chłopców siedzących i Marka stojącego przed Kaidem, jakby składał przysięgę. Adwokat zaniepokojony nadstawia ucha: „Powtarzaj za mną: Przysięgam na śmierć!“ — „Na śmierć!“ — odpowiada Marek odrzucając dwoma ruchami głowy jasne włosy: na lewo, potem na prawo — tak jakby przeczył... Darrier ukazuje się.

— Cześć!

— Dobry wieczór — mówi Marek i odwraca się plecami. Jego towarzysze robią niezdecydowany ruch.

— Słuchajcie... (To wyrażenie Klaudiusza!) Dziś wieczór jest zebranie Grupy w Café des Négociants...

— Możliwe — odpowiada Kaid. — Pan wpada do nas, kiedy panu jest wygodnie, kiedy panu to zanadto nie przeszkadza... A nam to nie odpowiada!

Marek odwrócił się, a pozostali zadarli głowy do góry. Zaczyna się pojedynek, którego Darrier oczekiwał. Mierzy przeciwnika oczyma: jest wyższy, szerszy, ale szczuplejszy od niego; kości obciągnięte skórą, ręce guzowate; bez warg, wzrok zimny, w nieporządnej gęstwinie krótkich, sztywnych włosów — bardzo biała blizna...

— Oczywiście — zaczyna Darrier pojednawczym tonem — nie możecie czekać na nas przez cały tydzień! Będzie wygodniej, jak będziemy mieli nasz własny klub, nasz barak...

— Barak? Mówi się o tym już od sześciu miesięcy! Nigdy go nie będziecie mieli!

— Nigdy! — powtarza Marek jak echo.

— O, będziemy mieli!... I Benito go pomaluje! Alfred będzie tam konstruował swoje modele samolotów... Będą książki i płyty, a Marek albo wielki Jakub będzie skarbnikiem... Dédé skleci nam aparat radiowy, a... słuchaj! ty przyniesiesz te rękawice bokserskie! (W tej chwili je spostrzegł: dwie pary prawie nowe... Gdzie Kaid je zwędził?)

— W twojej dzielnicy jeszcze wierzą w świętego Mikołaja?

Trzech kumplów wybucha śmiechem. Obracają głowy do jednego, potem do drugiego, jakby patrzyli na mecz tenisowy: mecz, który Darrier właśnie przegrywa...

— Ty może wolisz knajpy?

— Tak — mówi wolno Kaid zbliżając się do niego. — Na szczęście mamy je — i mamy je codziennie!

— Dla spróbowania tych pięknych rękawic nie potrzeba ani knajpy, ani baraku! — zaczyna trochę głucho Darrier po chwili milczenia. — Marek, potrzymaj mi okulary!

Bez okularów wydaje się nagle taki młody, taki bezbronny... Marek odrzuca włosy w tył, jakby mówił: nie, a może żeby nie dopuścić do walki...

— Stawaj! — komenderuje duży. — A wy, zasznurujcie mi rękawice!

Marek zawiązuje rękawice Darrierowi. Chłopak zrobił się bardzo blady, tylko za wąskie wargi i za szerokie policzki są zaróżowione. Jego niebieskie oczy — oczy matki, ale przejrzyste — wydają się nagle olbrzymie. Prosty, krótki nos pokrywa się w jednej chwili kropelkami potu. Darrier, który go obserwuje, zmusza się do uśmiechu. „Dalej!“

Od samego początku Kaid wali brutalnie. Sześć miesięcy! sześć miesięcy czeka na taką szansę: logiczna sposobność ukarania adwokata... Mści się za policjantów, za sąd, za jedenastopokojowe mieszkania, za amerykańskie samochody, za tych, którzy jedzą dwa razy dziennie po dwie potrawy: wali, wali!... A Darrier inkasuje: w żołądek, w wątrobę, w podbródek, w skroń... Ból znaczy jego ciało. Umyślnie broni się dość słabo. Bo po każdym uderzeniu myśli ze ściśniętymi zębami: „Dla Dédé... Dla Manuela... dla Pawła...“ Wykupuje każdego z tych smarkaczy od wielkiego Kaida! „...I dla tych dwóch tutaj, których jeszcze nie znałem: aj!... aj!... Teraz dość!“

Darrier cofa się o krok. Marek boi się, a tamci dwaj mają nadzieję, że runie. Nie! przybiera pozycję i zaczyna atakować. Kaid wprowadzony w błąd, zdyszany, źle przyjmuje ciosy. Jego przeciwnik nigdy nie uczył się boksu, ale dostał właśnie bolesną lekcję: poznał dobrze miejsca i teraz on wali. I zaczyna swoją litanię od początku: „...dla Alfreda... dla Benito!... dla Marka!“ A, za Marka musi drogo zapłacić: w żołądek, w kość czołową! Krew tryska. „...i w końcu dla ciebie, wielki Kaidzie, biedny chłopaku!“ W brodę!... Wbrew oczekiwaniu duży chwieje się i cofa, potykając się jakby stał na wrotkach, po czym bezsilnie pada na kupę żelaznych wiórów.

— Wystarczy chyba jak na... zaprawę! — proponuje Marek głuchym głosem.

— To już jak Piotr zechce! — mówi nonszalancko Darrier, któremu serce bije jak zwariowane. Pierwszy raz nazwał tamtego po imieniu.

— Wystarczy! — odpowiada były Kaid podnosząc się z trudnością.

— Marek, pomóż mi ściągnąć rękawice!... A okulary?... Dziękuję... Pożycz Piotrowi chustkę!... Czekają na nas — dodaje spokojnie — śpieszmy się!

Przez całą drogę ani słowa... Kaid idzie sam, na końcu; Marek koło adwokata.

Każda latarnia uliczna gra w zaćmienie słońca na jego twarzy, jedną część zostawia w cieniu, drugą twardo oświetla: kość policzkową, szczękę, uśmiech, zmarszczoną brew nad nieruchomym wzrokiem... Pięć cieni obraca się u ich stóp. Cisza. Darrier myśli o panu Lamy, o bandzie, która stanie się Przyjacielską Grupą... Przeżywa jedną z tych chwil, w których wierzy się, że świat da się uratować, bo samemu spełniło się właśnie swoje zadanie. Jest szczęśliwy.

W kawiarni zastaje Klaudiusza i Franka w trakcie tłumaczenia innym, jak przy pomocy kilku pokoi w mieście i skrzynki z fiszkami zatrudnienia... „Tak, bracie, fiszki, bo wtedy, rozumiesz...“

Zdecydowanie bardzo dobry wieczór!

tłum. Stefania Zgórska

Powieść Gilberta Cesbrona „Bezpańskie psy“, której fragment drukujemy, ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa „Pax“.

Wiosennej, mojej. Rwałam poziomki po lesie
A w nocy krew Dunkierki, czerwienie ust niesie
Sen splątany. Pod nieba gorącego łukiem
Bańka Ziemi niemieckim uginana butem.

X

Kiedy w lat cztery potem w lipcu Marszałkowską
Pełzły tabory — Niemców i Własowców wojsko
Uchodzące. W kretony strojne warszawianki
Parskały śmiechem w twarze żołdaków. Łapanki
Ucichły. Tylko wozów dudnienie powolne,
Oczy tępe, żelaza stępione, niezbrojne
Ręce. Przez rzędy czołgów mali gazeciarze
Śmigali krzycząc: „Kurierr! Kończymy z malarzem!“
A młodzi chłopcy w butach, oficerkach modnych,
Stali na każdym rogu — walki! walki głodni!

Jeszcze się na Żoliborz trójka z rzadka wlekła.
Czekałam na przystanku. Brukiem parła rzeka
Wojny. Tuż o sto kroków zaszczekał automat.
Więc o mur się oparłam. Wyjęłam Rimbauda
I ocean poezji serce mi zatopił.
„Przepraszam“ — rzekł ktoś do mnie. Pani cichy profil
W żałobie widzę dotąd. — „Proszę mi wybaczyć
Lecz muszę ujrzeć, kto dziś czytać wiersz potrafi?“
Patrzyłyśmy na siebie. Ja — bardzo zmieszana —
Lecz — ścisnęła mi rękę — i znów stałam sama.

Chłopcy młodzi — dziewczęta — Którzy w dni niewiele
Wstępowaliście w zaświat. Ciała swe w popiele
Stolicy porzucając. O zgwałcone ciała
Śmiercią! O niecierpliwi — Któż nie jęknie — Chwała —
Pokolenie zgładzone — Rozmawiałam z nimi,
Z szybkimi dziewczętami, z chłopcami butnymi.

W czterdziestym czwartym roku wiosna piękna była,
Wisła pogodą srebrną wikliny poiła.
Nad wiklinami słońca koło, lazur czarny
Od pogody i ciemne wszystkie wiosny barwy.
Czerwonej Cytadeli proch bezsilny w szumie
Zieleni. Jaskry żółte tłumnie, krzyże tłumnie
Zgromadzone. Za rzeką profil metalowy
Miasta. — Krzyku rybitwy czekałam. Rozmowy.
Potrącały mnie. Spadał skwir. Niedostrzegalny
Znak. I stygłam. Strzelano. Pod lazurem czarnym.

Słońce czyhało u bram. Legało na każdej
Ulicy złote, ciężkie. Paliło. Tak parzy
Oddech natrętny. Biegłam. Stawałam w podcieniach
Arsenału długiego. I szłam. Idę niema
Do wylotu, gdzie szczerzy biel powietrza skała.
Ja podważam ją wierszem. A ktoś rzuca — granat.

Od Wielkanocy żyłam w Warszawie. W niedużym
Pokoiku liczyłam dniówki. Szef mój burzył
Szkielet getta. Był to mój kolega z gimnazjum,
Pryszczaty frazesowicz. Z coraz grubszą kabzą
Chodził. Nienawiść zawsze między nami kwitła,
Dlatego dał mi pracę, żebym mniej ambitna
Była. Ja zaś, że kromki suche gryzłam chleba,
Z śpiżarni tłuszcz mu kradłam nie bojąc się nieba.

O Warszawie epiczną pisać pieśń? — Za blisko
Błyskają twarze ludzkie — czas krwią czarną błysnął
Ale w sercu jaskrawa pulsuje stolica.
Każdy kształt jest płomieniem — Jak płomienie schwytać?

Ten chłopak zgniły, który pożydowskie złoto
Z Niemcami zbijał. — Co dzień przez tramwaju okno
Mury getta — krajobraz bardzo elizejski —
Ten obcy tłum młodzieży drwiąco - bohaterski.
„Gazetka“, w której twardy wiersz jest wiersz skrzydlaty —
Kto go pisał? Tęskniłam by go spotkać — światem
Podzielić się — Ta blada moja rówieśnica
Studiująca historię, o Polski granicach
Dyskutująca twardo, walcząca spokojnie
Z faszyzmem wielokształtnym — Pokolenie moje.

Na Żoliborzu kwitły migdałowe krzaki,
Ogrodowe poziomki oraz automaty
Pieczołowicie kryte wśród klombów i działek —
Kazano mi podziwiać paterę dojrzałych
Jagód — Uczęstowana tak ożywczą wonią,
Uśmiechałam się ładnie, gdyż brzydko być głodną.

Wieczorem na tarasie kucnąwszy na schodkach
W intelektualnych gubiłam się plotkach,
Słuchając rozmów. Gadał mędrzec — maturzysta
Z architektem, który znał w Paryżu Matisse'a.
Więc — malarstwo. A także, iż dziewictwo szkodzi,
O czym we Francji wiedzą higieniczni młodzi.
Metafizyka również. Był na Żoliborzu
Filozof, który nową religię utworzył,
Punktem wyjścia i dojścia — kultura. To ona
Wprowadzi nas w nirwanę, mijalność pokona.

O, jakże się zaśmieli, kiedy rzekłam prędko,
Że od ich raju wolę każde inne piekło.
(Bo tak myślę i dzisiaj wbrew mądrym krytykom,
Którzy mi przypisują czczenie formy tylko.)

Jak wiadomo forma jest skorupą tłukliwą,
Pryskało artylerią uderzane szkliwo
Horyzontu. Syreny wołały. Naloty
Wybiegały z obłoków upragnionym grzmotem.
Warczał samochód nocą na naszej ulicy
Odsuwaliśmy tapczan — pod nim do piwnicy
Zejście było. Systemem jakim wygarniano?
Próbowaliśmy wieszczyć, nakryci tapczanem.

Że uciekali — że szef mój napchany złotem
Zwinął „biuro“ — że grosza nie miałam — a mąkę,
Chleb — schowali paskarze — Że sen z ciała, z drżenia
Materii — wybuchł we mnie: Gięły się sklepienia,
Ja biegłam coraz głębiej z tłumem, biegłam sama —
Goniły mnie podziemia złatujące. Ściana
Zalśniła niebotyczna przed twarzą. Przy ścianie
Mały demon wykreślał nieznane równanie.

LONDON ★ PARIS ★ ROMA ★ LONDON ★ PARIS ★ ROMA

John Neville w roli Ryszarda II na scenie Old Vic

NOTATKI ZNAD TAMIZY (1)

LONDYN podczas fali ostatnich upałów bardzo opustoszał. Daje się to zauważyć zwłaszcza na wieczornych przedstawieniach teatralnych. Loże i pierwsze rzędy prześwitują łysinami pustych krzeseł, a większość wyfraczonej i wydekoltowanej widowni stanowią zagraniczni turyści, którzy bawią tu przejazdem na południe Europy, czy też do chłodniejszej Szkocji. Oni to stanowią w tej chwili podstawę ekonomicznej egzystencji większości teatrów West Endu, nie licząc, oczywiście, zawsze obecnej cyganerii artystycznej z Chelsea.

Mimo tej wakacyjnej przerwy, w czasie której wiele zespołów wyjechało do modnych miejscowości wypoczynkowych, a część z nich tak poważnych jak Old Vic — rozbiła się na mniejsze grupy, jako że w Stradfordzie trwa 96 sezon przedstawień szekspirowskich — jest co oglądać nad Tamizą.

Dla zaspokojenia ciekawości powiem, że w tegorocznym repertuarze Stradfordu grano już 5 sztuk Szekspira z dość dużym powodzeniem. A to: „Wieczór trzech króli", „Wszystko dobre co się dobrze kończy", „Wesołe kumoszki z Windsoru", „Titus Andronikus" i „Makbet". Oczywiście Old Vic wysłał do Stradfordu swoich czołowych aktorów z Vivien Leigh i Laurence Olivierem na czele. Miss Leigh występuje jako Viola, Lavinia i Lady Makbet, zaś sir Olivier w rolach Malvolia, Titusa i Makbeta. O kunszcie tej czołowej pary aktorskiej nie można pisać z umiarkowaniem, a najlepiej chyba o tym powie wszystkim porównanie użyte przez krytyków, którzy mówią o Olivierze, że gra „jak w najlepszych swoich filmach szekspirowskich". Zwłaszcza „Makbet" cieszy się ogromnym powodzeniem i osiąga obecnie liczbę 100 przedstawień — być może zdziwi bardzo polskiego czytelnika wiadomość, że w historii teatru angielskiego jest to czwarte co do ilości przedstawień wystawienie tej sztuki.

Istnienie kilkudziesięciu teatrów w samym Londynie i wysokie ceny biletów nie sprzyjają długim okresom grania jednej sztuki. Nie można zapominać również, że byt teatrów opiera się na burżuazyjnej publiczności i dyrekcje schlebiają jej gustom. To też nie wpływa bynajmniej na popularność repertuaru i przeciętny mieszkaniec Londynu woli udać się do kina, gdzie mimo wszystko jest znacznie bliżej rzeczywistości. Chodzenie zaś do teatru jest — jak powiedziałem — luksusem i można sobie pozwolić na to tylko od czasu do czasu. Wtedy oczywiście wybiera się klasyków, którzy dla odmiany są rzadkimi gośćmi na ekranach.

Na scenie Old Vicu w Londynie grane są w tej chwili trzy sztuki szekspirowskie: „Ryszard II", „Jak wam się podoba" i pierwsza i druga część „Henryka IV". Największym powodzeniem cieszą się dwie pierwsze. „Jak wam się podoba" reżyserował świetny choreograf i tancerz angielski Robert Helpmann. Przedstawienie jest niezwykle żywe i bardzo poetyckie. Krytyka jednomyślnie zachwyca się grą młodej aktorki Virginii Mc Kenna, określając jej Rosalindę jako jedną z najbardziej czarujących i poetyckich kreacji sezonu. Zresztą niewiele ustępuje jej cały zespół z bardzo romantycznym Orlandem w wykonaniu Gwen Cherrella.

Trzeba szczerze przyznać, że ilość doskonałych kreacji młodych aktorów jest tu wprost uderzającym zjawiskiem. Jeszcze bowiem nie przebrzmiały zachwyty nad czarującą kreacją Rosalindy, a już nowa premiera „Ryszarda II" przyniosła świetną kreację Johna Neville w roli tytułowej. Ten młody aktor, przed siedmiu laty jeszcze amator, premierową kreacją zapisał na konto swoich osiągnięć jeden z najbardziej interesujących powojennych wieczorów teatralnych. Neville ukończył Królewską Akademię Sztuki Dramatycznej i przez trzy lata grywał w zespole Old Vicu. Szczególnie pomocna była tu widać szkoła tego teatru, którego tradycje szekspirowskie znane są dziś na całym świecie. Słaby i marzycielski, a jednocześnie samowładny król, który pada ofiarą własnych grymasów, zmusza nawet powściągliwych Anglików do słów zachwytu.

Wielkim uznaniem cieszy się również kreacja młodej irlandzkiej aktorki Siobhan Mc Kenna w tytułowej partii „Świętej Joanny" Shawa (wystawianej przez St. Martins Theatre). Ta najbardziej popularna chyba w Anglii sztuka Bernarda Shawa ma za sobą wiele tradycji aktorskich i sukces w roli Joanny nie należy bynajmniej do łatwych

Na tym „kobiecym Hamlecie" nie kończy się jednak przegląd poważniejszych przedstawień londyńskich. Należy tu jeszcze koniecznie wspomnieć o zaadaptowanej przez znanego działacza pokojowego Christopher Fry świetnej sztuce Giraudoux „Wojny trojańskiej nie będzie". W roli Hektora wystąpi świetny aktor również młodego pokolenia, Michael Redgrave, znany u nas z wielu filmów angielskich (między innymi „U progu tajemnicy" i „Renegat").

A ta pozostała ogromna reszta — zapytacie — jak się prezentuje?

Otóż z repertuaru tzw. programowych autorów współczesnych nie gra się w tej chwili nic. T. S. Eliot, Noel Coward, Hugh Hastings czy z zagranicznych Sartre, Williams, Anderson, Miller, Pirandello ujrzą premiery swoich sztuk dopiero na jesieni. Co będą w swoich najnowszych pozycjach propagować, w jakim stopniu dojdzie do głosu dekadentyzm — trudno powiedzieć. Będzie to z pewnością zależało od bywalców teatralnych z Mayfair, którzy zapoznają nas ze swoimi kaprysami dopiero po powrocie z Riviery. I trzeba z przykrością przyznać na przykładzie ostatniego sezonu, że mimo wielu świetnych przedstawień szekspirowskich, współczesny teatr angielski nie jest w stanie przełamać swej inercji i zaprzestać przyjmowania typowo broadwayowskiego stylu życia.

„Rozpaczliwe godziny" autora amerykańskiego J. Hayesa przerobiono na scenę z gangsterskiego filmu, apaszowski „Paryż w nocy" pełen negliżu podrygującego w takt jazzu, pompatyczne „Znaki krzyża" z czasów Nerona, które nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem, niepoważne „Poważne podejrzenie", błazeńskie „Cudowne miasto" (adaptacja z filmu „Moja siostra Eilen" granego u nas przed laty), dwie przeróbki powieści kryminalnych Agaty Christie: „Pułapka na myszy" i „Pajęczyna", „Jazzowy pociąg" z mulatkami — oto część głównych premier scen West Endu. W świetle londyńskich ramp banał niestety przyćmiewa swą ogromną masą Szekspira. Trzeba koniecznie jechać do Stradfordu.

J. M.

TEATRO dei Piccoli de Podrecca

DZIWNY pomysł strzelił w r. 1913 do głowy rzymskiemu adwokatowi, dziennikarzowi i wydawcy, Vittorio Podrecca, temu samemu, z którego artystycznym magazynem współpracował kiedyś Gorki. Wynajął on zniszczony budynek klasztorny i skupiwszy po bankrutujących teatrzykach dziecięcych sprzęt i lalki, stworzył w nim rodzaj atelier i „instytutu piękności" dla marionetek. Wkrótce też zaczął dawać przedstawienia. Pierwsze zgromadziło... czterech widzów. Przed większym gronem publiczności zaprezentował potem „Sorva padrona" Pergolesego oraz „La Jalousie du barbonille" Moliera. Ten wieczór stał się sukcesem, pierwszym sukcesem nowego zespołu.

Takie były początki „Teatro dei Piccoli", który w ciągu niewielu lat zdobył światową sławę i rozporządza dziś dwiema stałymi siedzibami w Rzymie i Mediolanie, ponad tysiącem lalek, dwoma tysiącami kostiumów, czterystoma dekoracjami. Obsługuje to wszystko duży zespół aktorów - poruszaczy, śpiewaków, muzyków i techników. Teatr Vittorio Podrecca obchodził niedawno 40-lecie swej działalności oraz swój 20-tysięczny spektakl. Zanim po trzech podróżach po świecie dotrze kiedyś i do nas — tymczasem ujrzeliśmy go przelotnie w kronice filmowej — oto nieco wiadomości o tym zadziwiającym zespole.

Niezwykła jest przede wszystkim skala jego artystycznych możliwości. Gra on dla dzieci i dla dorosłych. Rozwija ogromne bogactwo form, od oper po skecze i numery cyrkowe. Występuje z widowiskami operowymi, operetkami, klasyką dramatyczno - teatralną i utworami scenicznymi dla młodzieży. Daje również koncerty, rewie, występy w stylu cyrkowym i music - hallu. Klasyka operowa w teatrze marionetek była początkowo dla wielu zuchwałą nowością. Kiedy Podrecca zjawił się z „Don Juanem" w Pradze — właśnie w tym mieście napisał Mozart ostatni akt opery — widzowie zjawili się na przedstawieniu, aby zaprotestować gwizdami; w końcu nagrodzić je musieli burzą oklasków. Dziś w repertuarze teatru znajduje się dwanaście widowisk typu operowego. Są wśród nich utwory Gluca, jest „Don Pasquale" i „Karnawał wenecki", jest specjalnie dlań napisana opera Respighiego „Śpiąca piękność w lasku". Z klasyków teatru grywa się tu poza Molierem — „Fausta" Goethego i „Burzę" Szekspira. Inną dziedziną repertuaru, pociągającą szczególnie najmłodszych widzów, są baśnie, nastrojowe i poetyckie feerie, folklor ludowy i egzotyczny, również taneczny, z całego świata, historia przygód. Obok „Pinocchio" Collodiego zobaczyć tu można „Noc kubańską", „Lazurową grotę na Capri", „Karnawał w Andach". Baśń „Missisipi" wyczarowuje poezję wielkiej rzeki i odtwarza w duchu „Chaty wuja Toma" ciężką atmosferę plantacyj. Skecze i rewię, music - hall i cyrk reprezentują „Trio Chocolat", skecz z trzema murzynkami, „Cyrk Fracassoni", walka byków „Corrida" oraz budzące salwy śmiechu numery z „Pianistą" i „Skrzypkiem". Rewelacyjny „Pianista" powstał nota bene z podpatrzenia w New Yorku i „skrzyżowania" słynnego pianisty - wirtuoza Władimira Pachmana oraz równie słynnego klowna Grocka.

Lalki Podrecca, których kliniką jest „dom marzeń" w rzymskim klasztorze, zrobione są z drzewa i gałganów i mają jeden metr wysokości. Najbardziej popularne z nich noszą osobne imiona. „Pianista", sensacja teatru, nazywa się Maestro Piccolovsky (w Brazylii znany jest jako Pingafogo), flecista — Pifferetti, jego pies — Salterch, para atletów — Spaghettino i Canalloni.

Niezależnie od operatorów „obsługują" niektóre z lalek jeszcze śpiewacy czy muzycy. Sharmonizowanie ruchu i gestu z muzyką i śpiewem wymaga nie lada jakiego mistrzostwa — Piccoli de Podrecca osiągnęły je w stopniu bodaj dotąd niespotykanym. Również sprawa kolorystyczna i kostiumowa, podobnie jak i dekoracje, znakomicie potęgują nastrój poetycki i feeryjny, czy komiczny i parodystyczny spektakli.

Poziom artystyczny osiągnięty przez skromny zespół uczynił go wkrótce popularnym w wielu krajach. Zespół odbył trzy objazdy po

Nowości muzyczne

WCZESNE lato obfitowało we Francji w ciekawe wydarzenia muzyczne, festiwalowe i konkursy. Mimo kanikuły okres ogórków zmienił się w sezon wielkich imprez i właściciele sal koncertowych nie mogli narzekać na brak ruchu.

Pierwszą jaskółką był międzynarodowy konkurs śpiewaczy w Tuluzie, który i tym razem przyniósł rozbieżność opinii jury z opinią słuchaczów. Jury przyznało „Grand Prix" Hiszpance Enriquetta Tarres Rabassa, choć ogólnym faworytem i ulubieńcem publiczności była obdarzona pięknym głosem i dużą muzykalnością Wenezuelka o dziwnie polskim brzmieniu nazwiska, Alicja Mikuski. Żałować należy, że Polska nie wzięła w tym roku udziału w konkursie; tym bardziej, że Andrzej Hiolski i Zygmunt Kossowski, laureaci konkursu tuluskiego z ubiegłego roku, pozostawili we Francji bardzo dobre wrażenie.

W Strassburgu wielki doroczny festiwal artystyczny rozpoczęła Orkiestra Radia Francuskiego i chór pod dyrekcją opata Hocha — „Mszą św. Cecylii" Haydna. W przepysznej katedrze średniowiecznej raz jeszcze zabrzmiała monumentalna muzyka „Mszy", zbliżona w charakterze do oratorium o stylu nieco teatralnym, barokowym — wspaniała. Kilka dni później w sali Aubette rewelacyjny włoski zespół kameralny Chigiano wystąpił z kwintetem Boccheriniego. Polski słuchacz nie orientuje się pewnie, że dzięki przypadkowemu odkryciu jednego ze skrzypków włoskich, który odnalazł w starym antykwariacie około 150 kwintetów tego mało znanego dotąd kompozytora — Boccherini zyskał z miejsca sławę równą niemal sławie największych mistrzów. Lojalnie stwierdzić trzeba, że kwintety Boccheriniego to muzyka przyjemna, pełna pogody, radości i ciepła.

Trudno byłoby wyliczać wszystkie punkty programu strassburskiego festiwalu. Nie mogę powstrzymać się jednak, by nie wspomnieć jeszcze o występie 140-osobowej orkiestry filadelfijskiej, której wykonanie „Symfonii klasycznej" Prokofiewa czy „Fantazji fantastycznej" Berlioza, mimo zbyt małej sali koncertowej i kiepskiej akustyki, stało się największym przeżyciem festiwalu. Orkiestrą dyrygował Eugeniusz Ormandy — ten sam Ormandy, który od lat w niedoścignionym sposób dyryguje dziełami Artura Honnegera, z którym zresztą spotkał się w Paryżu kilka tygodni temu po raz pierwszy w życiu.

Skoro już mowa o Paryżu, zatrzymajmy się chwilę przy międzynarodowym konkursie im. Jacques Thibaut i Margueritte Long, składającego się z części skrzypcowej i pianistycznej. Poziom skrzypków był tak wysoki, że muzyczne sfery określały konkurs jako konkurs wirtuozowski. Z 28 kandydatów pierwszych eliminacji, w których obowiązywały utwory Bacha i Vieuxtemps'a, ogólnym faworytem był młody skrzypek radziecki Edward Gracz, grający bez cienia tremy, w sposób iście porywający. Tymczasem w finałach Gracz trochę zawiódł i odniosło się wrażenie, że koncert Brahmsa, który wybrał, przerósł możliwości bardzo utalentowanego, ale mało doświadczonego jeszcze wirtuoza. Pierwszą nagrodę zdobył ostatecznie Francuz Devy Erlich, wyróżniający się poetyckością wykonania sonaty Isaye'a, wirtuozowstwem w kaprysach Paganiniego i olśniewającą techniką oraz pełną życia i świeżości interpretacją koncertu Czajkowskiego. Drugą nagrodę otrzymała znana publiczności polskiej z konkursu im. Wieniawskiego — Olga Parchomienko, doskonały technik, posiadająca głęboki, ekspresyjny ton i przypominająca trochę z gry słynnego Sitkowieckiego. Trzecie miejsce przyznano wspomnianemu już Graczowi, czwarte zaś Michelle Boussinot.

Przez pierwszą eliminację pianistycznej części konkursu przebrnęło 27 kandydatów, w tym kilku znajomych z warszawskiego konkursu chopinowskiego. Niespodziankę sprawił pianista radziecki Dimitr Baszkirow, któremu przyznano łącznie z Bernardem Ringeissenem drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano w ogóle). Ringeissen, tak jak w Warszawie, był ulubieńcem publiczności, która gderała na Jury za nieprzyznanie utalentowanemu Francuzowi pierwszej nagrody. Popularny Bernard zyskał opinię najwszechstronniejszego pianisty, który z mistrzostwem technicznym i wysoką kulturą interpretacji wykonał utwory Bacha, Beethovena, Chopina, Brahmsa i Paganiniego. Wszyscy pamiętający Ringeissena z warszawskich występów — jego skupioną, pełną wewnętrznej kontemplacji grę, mogą sobie wyobrazić, jaką ucztą duchową były jego paryskie koncerty.

Inną przyjemną niespodzianką stały się wysokie lokaty uczestników finału konkursu chopinowskiego — Węgrów: Peter Frankla i młodziutkiego Tomasa Vasary, których szósta i siódma nagroda jest tym cenniejsza, że konkurs im. Margueritte Long przez swój złożony program wymaga od pianisty dużej wszechstronności. Wyróżnienie, jakie otrzymał nasz Miłosz Magin grający z wielką tremą, jest w tych warunkach też niewątpliwym osiągnięciem. Wskazuje ono jednak zarazem na konieczność rozszerzenia repertuaru naszych młodych pianistów oraz jak najliczniejszego uczestnictwa w konkursach międzynarodowych.

W Jury konkursu zasiadali dobrze znani w Polsce znakomici pedagodzy i wirtuozi jak: Tagliaferro, Boulanger, Monique de Bruchollerie, Braiłowski, Gilels i wielu innych. Gilels raz jeszcze zachwycił Paryż swą grą występując w sali pałacu Chaillot wraz z orkiestrą Konserwatorium Paryskiego pod batutą André Clutensa. Wykonanie młodzieńczego koncertu Beethovena z opusu 15 czy koncertu d-moll Rachmaninowa doprowadziło publiczność francuską do stanu wrzenia. Krytyka muzyczna złamała pióro twierdząc, że mowa ludzka zbyt jest uboga na określenie gry Gilelsa.

Z niemniejszym entuzjazmem przyjął muzyczny Paryż wielkiego Brazylijczyka Hektora Villa-Lobos, o którym polski słuchacz ma zapewne mętne pojęcie, a jego „Wielkiej Amazonki" czy urzekających „Serenad Brazylijskich" nigdy pewnie dotąd nie słyszał.

Bogactwo imprez muzycznych, jakie przyniosły Francji ostatnie miesiące, staje się więc źródłem uzasadnionej zazdrości, z jaką polski słuchacz i miłośnik muzyki spogląda na programy muzyczne we Francji.

A. S.

OD DEGASA DO PICASSA

PODCZAS gdy w Galerii Sztuk Pięknych w Paryżu nieoczekiwanym powodzeniem cieszy się wystawa Degasa, równocześnie otwarte zostały: w Bibliotece Narodowej wystawa grafiki Picassa, a w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przy Avenue de Tokio wystawa, gromadząca wokół Bonnarda i Vuillarda sympatyczną grupę zwaną „les Nabis". Głośno było o niej w latach 1888 — 1903 i wyszli z niej artyści tak wysokiej rangi, jak Gauguin czy Maurice Denis.

Jeśli prawdą jest, że malarze, przynajmniej niektórzy, są świadkami współczesnych sobie czasów, Bonnard przynosi nam osobliwie uspakajający obraz schyłku XIX stulecia. Nadużywano w stosunku do niego określenia „piękna epoka", co prawda, przypominając raczej smutne bachanalie wielkiego świata z półświatkiem, orgie, których ośrodkami były restauracja *Maxim*, *Folies Bergères* i *Moulin - Rouge*. Niemal zapominało się przy tym, że istniały miejsca, w których panowały serdeczna zażyłość i uczucia tkliwej miłości, gdzie matki pochylały się czule nad swymi maleństwami, gdzie w łagodnym świetle naftowej lampy (niedyskretna elektryczność nie wszędzie jeszcze dotarła) czytywano wieczorem i gawędzono o pomyślnym rozwoju gospodarczym kraju i odzwierciedlającym go kursie Giełdy. Te sielskie, pogrążone w samolubstwie czasy znały i chwile okrutnych przebudzeń. Mówimy jednak o historii sztuki, nie o społecznej moralności.

Dobrze, że Muzeum Sztuki Nowoczesnej pomyślało o zebraniu pod jednym dachem twórców, których choć doznali w życiu różnej doli i niedoli, łączyło to samo pragnienie: ucieczki od akademizmu. Przybrali oni mgliście hebrajską nazwę „Nabis" — proroków. Rzeczywiście zapowiadali też jeden z tych zwrotów w sztuce malarskiej, których młodość musi nieustannie dokonywać, aby zuchwale potwierdzać samą siebie i nie dać się zamknąć w formułach.

Zapewne, nie wszyscy oni oznaczali się geniuszem, niektórym brakło nawet talentu. Zaskakuje widza na przykład ubóstwo Serusiera. Uniknął on jednak zapomnienia, nie tyle dzięki iskrze geniuszu, której mu zabrakło, co raczej dzięki słusznym intencjom twórczym. Portrety Maurice Denisa nie zapowiadają również tych wspaniałych sukcesów, które odniósł on później w obrazach religijnych i we fresku. Inna rzecz, że pokazany na wystawie portret jego młodej żony rozświetla — mimo nieco miękkiego rysunku — jakaś wewnętrzna jasność.

Z dzieł Vuillarda wystawiono dobre płótno „Ławkę". Ubrany w dziwaczny kusy strój, ni to za krótkie spodnie, ni za długie spodenki, z głową okrytą ogromnym skórzanym kapeluszem, jaki nosili marynarze za Drugiego Cesarstwa, mały chłopiec rozmawia siedząc na ławce ze starszą damą odzianą w równie śmieszący nas dziś ubiór. To jest wszystko, lecz z tematu, nie sprowadzonego bynajmniej do anegdoty, malarz wydobyć umie prawdziwe i głębokie wzruszenie. Słyszymy niejako tę naiwnie szczerą, błahą rozmowę. Przykuwają uwagę świeżość tej młodości i chłopięcość starości, olśniewające słońce, rozśpiewane słońcem drzewo rzucające skąpy cień na rozmawiających, banalna barwa nadbrzeżnej ławki, złotawe kamienie służącego za tło muru. Malarz poszedł za radą Corota: „Bierz światło i wal je na płótno". W sposobie, jak się to robi, tkwi cała sztuka.

Wśród wielu anegdot odtwarzających klimat życia tej grupy, dwie odnoszące się do Gauguina dobrze oddają udrękę biednego artysty: Poszukując modela dla postaci Kastora do swojego olejnego obrazu „Córki Leucyppa", Maurice Denis zwierzył się ze swym kłopotem Se-

Paul Gaugin — Kim jesteśmy? (1898 r. muzeum w Bostonie)

ANDRZEJ SZOMAŃSKI

O MALARSTWIE Piotra Michałowskiego

O POLSKIM malarstwie z ubiegłego stulecia napisano wiele. Przenicowano dość gruntownie twórczość Matejki, Rodakowskiego, Brandta, J. Kossaka — a więc tych artystów, którzy bezpośrednio spełniali funkcję czynnika politycznego, którzy tematycznie związali swą twórczość z historycznymi momentami życia narodowego. Jest oczywistą rzeczą, że miało to określony cel, wynikający ze świadomego adresowania dzieł do uczuć patriotycznych społeczeństwa. I przez to plastyka polska — oczywiście nie w tym stopniu co literatura — spełniała rolę tego nurtu ożywiającego niezależną myśl polską — była tym (wg określenia Adama Grzymały Siedleckiego) — „Golfsztromem polskim". Dziś patrząc na to zjawisko z perspektywy stulecia — widzimy nie tylko blaski, ale i cienie, które pokładły się na polskiej sztuce ówczesnej i które w rezultacie przyniosły dla niej następstwa, wybiegające naprzód poza wiek dziewiętnasty. Przede wszystkim trzeba tu podkreślić jeden moment, bodaj najistotniejszy — malarze polscy ówcześni w lwiej części tworzyli z myślą o pozamalarskiej treści swych obrazów, były one w większym stopniu malowaną historiozofią niż po prostu obrazami — a to musiało się odbić na ich formie, musiało w konsekwencji wywołać pewną degradację estetycznej problematyki malarstwa, pewien niedowład zagadnień kształtu i barwy. Nie mogło to nigdzie zaprowadzić, jak tylko w jedną w gruncie rzeczy ślepą uliczkę: do naturalizmu. Stąd pochodzą owe potężne (rozmiarami!) płótna, w których dążenie do drobiazgowej pedanterii historycznych lub niehistorycznych realiów sprawia, że przypominają one trochę antykwariaty, trochę ilustracje do podręczników szkolnych. I jeżeli w tym nurcie naturalistycznym czyjaś twórczość przetrwała do naszych dni, zachowując własne oblicze artystyczne — to tylko dzięki wybitnej indywidualności danego artysty. Przykład Matejki jest najbardziej dobitną ilustracją tych starych zresztą, bo lat temu z górą 60 zauważonych przez Stanisława Witkiewicza objawów. I ówczesna krytyka artystyczna przeniosła całkowicie punkt ciężkości na sprawy tematyczne — najważniejszy stał się dla niej problem: co dany obraz przedstawiał — a nie jak był namalowany.

Toteż w świetle powyższych uwag szczególnie ciekawie przedstawia się twórczość malarza, który wyprzedził znacznie swoje pokolenie artystyczne w Polsce. Jest nim Piotr Michałowski; w bieżącym roku przypada setna rocznica jego zgonu, warto więc przy tej okazji zastanowić się nad dziełem tego człowieka, które właściwie jest mało znane — w stosunku do pozycji, jaką zajmuje w polskiej sztuce. Najbardziej twórczy okres jego życia (1800—1855) — przypada na lata trzydzieste i czterdzieste ub. wieku. Rewolucja francuska i wojny napoleońskie wypędziły z obrazów rokokowe sielanki z beztroskimi pasterzami. Ich miejsce zastąpili żywi, zwyczajni ludzie w mundurach lub bez — schyleni nad własnym karabinem, lub padający od kul cudzego. Życie wkroczyło brutalnie na płótna mistrzów, którzy w większości oddali swe pędzle na świadectwo epoce — Goya, Delacroix, Gericault, Daumier stworzyli w tym czasie dzieła nie na miarę a ponad miarę epoki. Ale jeszcze sztywny akademizm straszył z płócien Louis Davida i całej plejady innych, w malarstwie włoskim trwał, już dość długotrwały zresztą, okres stagnacji, w Niemczech z właściwą ich twórcom dokładnością powstały rozliczne dzieła, skąpane w sino-brunatnych sosach. I w tym kontekście artystycznym twórczość malarza, który tworzył w Polsce zdławionej zaborczym terrorem, nabiera cech zjawiska całkiem odrębnego — może nawet nie tyle odrębnego, co wyjątkowego.

Piotr Michałowski — Perszerony

Twórczość Piotra Michałowskiego jest polska i to nie dzięki jej treściowym związkom z polską rzeczywistością owej epoki, ale w największym stopniu dzięki jej wyrazowi artystycznemu. Wychowany i żyjący w środowisku zamożnej szlachty wykorzystywał tematy, które już wówczas urastały do symbolu szlacheckich zainteresowań — jeźdźcy, konie, epizody batalistyczne. Ileż kilometrów płótna zamalowali po nim nasi malarze z Wojciechem Kossakiem na czele — wytrwale tworząc ułanów u studni, lub strzelców konnych na patrolu na tle lirycznej wsi z nieprawdziwego zdarzenia. Michałowski też odtwarza grzywy i pęciny końskie, i na jego obrazach także błękitnieją i żółcą się ułani nadwiślańscy — ale... i tu dochodzimy do sedna sprawy. Do jego twórczości da się w pełni dostosować jedno z nowych określeń realizmu, że sztuka powinna „korzystać z rzeczywistości, ale nie naśladować jej".

W czasach przedrozbiorowych polskie malarstwo to była właściwie sztuka włoska; upadek państwa w żadnym wypadku nie przyczynił się do rozwoju rodzimej sztuki. Można bez przesady powiedzieć, że do lat 60-tych XIX w., tj. do rozkwitu polskiego malarstwa historycznego panowałaby w polskiej plastyce niepokojąca próżnia, której nie byłyby zdolne wypełnić meteoryty w rodzaju Kotsisa czy innych (nawet nie bardzo jest kogo wymienić!). Malarstwo właściwie aż do czasów impresjonizmu pozbawione było światła. Ten niedowład jasnych kolorów trwał aż do rewelacyjnych odkryć Maneta, Sisley'a, Degasa — odkryć, które przyniosły światowej sztuce olbrzymie zdobycze.

Patrząc na obrazy Piotra Michałowskiego uderza rzadkie w owych czasach przedimpresjonistycznych podejście do zagadnienia barwy. Pierwszym znamieniem kolorytu jego obrazów — to ciemne tło, zazwyczaj w granatowej tonacji. Drugie, niemniej ważne: kontrasty kolorystyczne dominujące jako element wizualny. O ile jednak w obrazach starych mistrzów np. Holendrów, kontrast taki stanowił środek, podkreślający momenty kompozycyjne dzieła, to u Michałowskiego wzmiankowany czynnik istnieje nie jako element ilustratorski, ale jako jedno z ogniw końcowych oddziaływania estetycznego. Weźmy np. taką „Somosierrę": kłębowisko jeźdźców, otok kurzawy, dym armatni — wszystko w ciemnej oprawie skał, perspektywicznie ujęte w ukośnym rzucie górnym. Świadome pominięcie historycznych szczegółów jest zastosowane przez artystę nie w celu jakiegoś skonkretyzowania zjawiska, lecz w celu osiągnięcia wrażenia pewnej syntezy bitwy jako całości — przy czym koloryt obrazu znakomicie sugeruje grozę i niecodzienność zjawiska. Wszystko to uwydatnia się silnie przy konfrontacji z „Somosierrami" (aż trzema) W. Kossaka, gdzie obok dobrej zresztą kompozycji brak jest mocniejszych akcentów artystycznych, które by w efekcie dały podobne wrażenie. Paleta Michałowskiego nie jest paletą bogatą. Nadają jej ton farby granatowe i ciemno - niebieskie, sporo żółci. I tym mocniej należy się dziwić jego technice — tej uderzającej śmiałości w posunięciach pędzla, każącej jego sztukę umieścić o kilkadziesiąt lat później, w dobie „triumfującego" impresjonizmu. Konkret służy mu niejako za punkt wyjścia, za pretekst do wynurzeń na temat „barwy świata" — wynurzeń przejawiających się także w wyraźnym dążeniu do degradacji kształtu przedmiotów na rzecz ich kolorytu. Dziś, kiedy mowa o kryzysie, jaki przechodzi współczesne malarstwo sztalugowe, warto zastanowić się, czy istotnie może okazać się skutecznym środkiem dążenie do „fotografizowania" rzeczywistości przy jednoczesnym zwężaniu wachlarza tematyki.

Płótna Michałowskiego mają pewien wspólny koloryt, wspólne światło, które sprawia, że przemawiają w podobny sposób do odbiorcy (chciałoby się rzec: mają wspólny wydźwięk, gdyby to słowo nie było tak nadużyte). Dlaczego nie stosuje się podziału malarstwa na odkrywające świat i kopiujące go — na sztukę, która pokazuje nam rzeczywistość z tych stron, z których jej nie znamy, która wydobywa jej ukryte dla niemalarskiego oka aspekty — oraz sztukę, która z miernym powodzeniem pełni rolę aparatu fotograficznego. Gdyby taką linię podziału przeprowadzić, to wówczas w tej pierwszej grupie znalazłby się, bez żadnych, sądzę, dyskusji — Piotr Michałowski. Jego obrazy dają potrzącemu poczucie świeżości świata. Typowe jest dla ich treści dążenie do maksymalnej oszczędności drobnych realiów rzeczywistości, pewien — zaryzykuję twierdzenie — zanik opisowości. Owej naturalistycznej opisowości, będącej kamieniem węgielnym oficjalnej sztuki w tamtej epoce. Przeładowanie nadmiarem zbędnych elementów, które stało się kulą u nogi malarstwa XIX-wiecznego i tak fatalnie zaciążyło na twórczości wybitnych artystów — nigdy nie występuje w obrazach Michałowskiego.

Nie ostatniego rzędu zagadnieniem jest sprawa faktury obrazów. Ktoś powiedział raz o Holendrach, że w ich dziełach jest ona tej samej wagi co kolor — tylko nieco odmienne znaczenie posiada farba — pojęta nie jako materiał — lecz jako jeden z elementów współtworzących obraz w jego kształcie dokonanym. W pewnym stopniu można to zastosować do obrazów Michałowskiego. Na jego płótnach farba leży dość grubą warstwą i... jest jakby niematerialna — zdawać się mogło, że to nie olej a pastel. Piszę: olej, gdyż chociaż Michałowski posługiwał się dobrze techniką akwarel — to jednak jest on najbardziej charakterystyczny dla jego malarstwa. Nie wiem, czy przez całą drugą połowę XIX wieku znalazłoby się u nas wielu malarzy-realistów, którzy by równie dobrze potrafili nadać swym postaciom dynamikę nie wpadając w opłotki naturalizmu. W każdym razie można by ich zliczyć na palcach. Ciekawą jest przy tym rzeczą, że wyprzedzając twórczością swoją epokę w której żył — subiektywnie ciążył Michałowski raczej do tradycjonalnych form i łożysk, którymi toczył się nurt sztuki. Jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że obok Velasqueza, w którym widział wyżyny artyzmu — ze współczesnego mu malarstwa podobał mu się m. in. Vernet — malarz o oficjalnie akademickim obliczu — to nasunie się wniosek, że oblicze jego sztuki wyprzedzało raczej jego estetyczne poglądy. Ziemiańskie środowisko, z którego pochodził i w którym się przeważnie obracał, zaoszczędziło mu przeżyć tego, co było chlebem powszednim większości artystów — nędzy, samotności, borykania się z losem. Stąd w sztuce jego można zaobserwować pewne zaokrąglenie ostrych kantów, jest tam raczej atmosfera solennego spokoju. Nawet portret konny Napoleona jest dziełem pokazującym imperatora w tej krainie, której bataliony cesarza Francuzów nigdy dlań nie zdobyły — w krainie ciszy i spokoju... Niewiele dołoby rozważanie na temat tego, dlaczego wielkie wypadki historyczne odbiły się raczej marginesowo w twórczości Michałowskiego — wyjaśnienie klasowych przyczyn zjawiska, wnosząc wiele cennych uwag — nie wyczerpałoby tego problemu.

Pozostanie faktem bezspornym, że w latach izolacji kulturalnej społeczeństwu polskiego tworzył na gruncie narodowym malarz, którego europejskość formy znamionują zarazem wybitne rysy rodzime, twórczość odgrywa historyczną rolę pomostu łączącego naszą sztukę połowy ub. stulecia z przodującą sztuką europejską. Sztuka Piotra Michałowskiego wytyczała właściwy tor polskiemu malarstwu i z żalem trzeba stwierdzić, że nie prędko tę jej zasługę wykorzystano. Ale obok tych wartości zawsze zostanie jeszcze jedna, bodaj z punktu widzenia potrzeb naszych dni największa — wielka suma wzruszeń estetycznych, przypadłych w udziale patrzącemu na jego obrazy.

Życie jest mocniejsze

Dokończenie ze str. 5

towych. Pomagali sobie wzajemnie, ale radość z powodu ocalenia już słabła i zdarzało się, że interesy ich były sprzeczne; wspólne życie powodowało niechęci i trudności w stosunkach z obcymi. Pomiędzy bliskimi krewnymi wszystko układało się lepiej. Baraki ledwo wystarczały, aby ochronić się przed deszczem; mieszkało się w nich w ciasnocie jak wieprze w chlewie. W piątym miesiącu po wybuchu, a był to grudzień, spadł grad, zimny wiatr dął poprzez popękane i źle zbite deski, i przebywanie w tych budach stało się niepodobieństwem. Przybyli cieśle z przedmieść, dostarczono budulca. Bracia i krewni pomagali sobie wzajemnie w stawianiu tymczasowych domów. Ściany lepiono z gliny, pułapu nie było, tylko dach słomiany; wyglądało to na chałupę wieśniaka o powierzchni około 60 stóp kwadratowych. Choć budowano je w pośpiechu, domki te były zaopatrzone w maty układane na ziemi i w okiennice wzdłuż korytarzy. W porównaniu z barakami wyglądały jak pałace i wykorzystywano nowe pomieszczenia, aby zawierać małżeństwa, w tempie dziesięciu rodzin tygodniowo.

Jednak okres ostatecznej budowy jest jeszcze sprawą przyszłości; nie możemy o tym myśleć, zanim kraj znowu nie stanie na bardziej mocnych podwalinach. Obecnie, pomimo utraty wszystkiego, ludzie mają już rację bytu; są bogaci — bo są zadowoleni, a są zadowoleni — bo pracują dla przyszłości.

Gdy wchodziłem do mego nowego domu, mój stary profesor, doktor Suetsugu, wręczył mi zwinięty arkusz papieru z powinszowaniami, wśród których znajdowały się następujące słowa: „Niewyczerpalne bogactwo wobec braku wszystkiego..." Gdy się patrzy — przez okno wagonu np. na wzgórza Urakami tak spustoszone, tak mało zaludnione, można by pomyśleć, że nic się nie robi, że odbudowa jest rzeczą niemożliwą. Lecz ludzie pracują, trudzą się, oczyszczają teren z gruzów i budują. Powoli, nieznacznie miasto odradza się. Garść ludzi wierzących i pobożnych, którzy znaleźli swe szczęście w cierpieniu i łzach, spełnia jeden z obowiązków naszego stulecia — obowiązek odkupienia. Ci, którym brak wiary — nie powrócili. Wiara jest jedyną pobudką do czynu, który się tu dokonuje.

GDY ZNÓW ROZLEGA SIĘ GŁOS DZWONÓW

Kościół w Urakami zbudowany był z czerwonej cegły; zdobiły go od frontu dwie wieże, 30 metrów wysokie, z zawieszonymi tam dwoma dzwonami: jednym wielkim i drugim mniejszym. Wielki dzwonił co dzień na Anioł Pański; mały był używany jedynie podczas świąt. Mówiono, że stop, z którego był odlany, zawierał większą ilość złota; w każdym razie dźwięk jego odznaczał się zachwycającą miękkością i można było go słyszeć z odległości trzech kilometrów. Obecnie wieże leżały w gruzach; wierni zapytywali siebie z niepokojem, co się stało z dzwonami, aż stary p. Tagawa odnalazł pod zwałem cegieł ten mniejszy, całkiem nieuszkodzony. Co do wielkiego — był pęknięty. Ów stary Tagawa, pracując za młodu ze swym ojcem, pomagał przy zawieszaniu dzwonów na wieżach, a teraz powtarzał wobec każdego: — Nic na świecie nie przeszkodzi mi zawiesić je na nowo, gdy odbudują dzwonnicę...

Ale Tagawa był dotknięty chorobą z powodu bomby; opuszczony przez lekarzy, niezdolny był do ciężkiej pracy.

Tymczasem parafianie wzdychali: „Gdybyż tylko dzwony znów mogły dzwonić nad tym pustkowiem..." Tyle lat minęło od dnia, kiedy dzwonienie było wzbronione. Dziś byliśmy wolni, a pokój — przywrócony, lecz w sercach ludzkich panowało takie samo spustoszenie jak w ich domach i na ich polach.

Jaki niebiański oddźwięk poczuliby w sobie, gdyby głos dzwonów rozległ się ponownie nad spustoszoną osadą, wzywając na Anioł Pański.

Było to 24 grudnia, gdy Iszitaro Yamada powziął pewien plan i pozyskał dla mnie pomoc młodych ludzi z Motoo. Udali się do katedry, a ja, wspierając się na swym kiju, podążyłem za nimi. Brakło mi całkowicie siły; jedyne, co mogłem zrobić, to usiąść w pobliżu i modlić się.

Przez jakie zrządzenie Opatrzności udało się nam znaleźć wielokrążek dokładnie w miejscu, gdzie przedtem stała plebania?

Najpierw wszyscy uklękli; odmówili różaniec błagając, aby dzwon zagrzebany w cegłach mógł być znów zawieszony i głosił w ten dzień wigilijny chwałę Boga. Klęczałem, a oni pracowali.

Kopuła dzwonnicy leżała bokiem na ziemi. Otoczono ją belkami i przymocowano wielokrążek. Czy uda się nam wydobyć dzwon? Mogliśmy użyć tylko niedokładnie umocowaną zbieraninę bloków; gdy jeden się poruszał, wszystko chwiało się. Trzeba było liczyć się z bezpieczeństwem ludzi i dzwonu. Liny naprężają się, pracownicy chwytają za łańcuch...

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Pociągnęli raz, zatrzymują się.

— Święć się Imię Twoje...

Ciągną jeszcze raz, liny naprężają się.

— Przyjdź Królestwo Twoje...

Ponawiają wysiłek, by podnieść ten dzwon mający głosić o nadejściu Królestwa.

— Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

I oto dzwon poruszył się... wznosi się do góry; powoli naciągane łańcuchy, między jednym a drugim gorącym wezwaniem modlitwy, wyciągają go wreszcie.

W chwili gdy słońce zachodzi zabarwiając szkarłatem wzgórze Inasa, dzwon nasz odcina się swym pięknym kształtem na tle ruin dzwonnicy. Patrzę na niego, przejęty, niezdolny do poruszenia się.

Teraz z dalcka, z bardzo daleka, od strony portu dolatują odgłosy innych dzwonów poprzez spalone pola. To dzwony z Omura, odległe o sześć kilometrów; ich dźwięk płynie swobodnie ponad pustkowiem. Anioł Pański, mówi Yamada i klęka. W ślad za nim klękają wszyscy. A Iwagana, uderzając sercem naszego dzwonu o jego bok, również dzwoni na Anioł Pański...

Po raz pierwszy od wielu lat rozlegają się te dźwięki na Urakami. Ze wszystkich baraków i pałasów wybiegają chrześcijanie; to tak, jak gdyby byli świadkami cudu. I tu, i tam, wszędzie padają na kolana i zaczynają modlitwę.

Święte słowa zlewają się z odgłosem dzwonu:

...A Słowo stało się ciałem...

...Módl się za nami grzesznymi.

Jak daleko sięga głos dzwonu z Urakami — mężczyźni i kobiety ze łzami w oczach wznoszą z tej pustyni apokaliptycznej swe modły, pełne nadziei.

Paweł Nagai.

Kanada w mgnieniu oka

(Dokończenie ze str. 1)

Groził w każdej chwili oberwaniem, albo już zaczął się osypywać, sądząc po czerni osaczającej nas ze wszystkich stron.

W samym środku nocy stał samolot, zalewany teraz strugami światła. Super Constallation, srebrna od rosy i oliwy, przypominała rasową orientalną klacz przed konkursami. Raczej padnie, niż wyłamie — zdawała się zapewniać, jakby zapominając, że w danym wypadku wolelibyśmy to drugie.

Lot do Gander w Nowej Funlandii trwał dziewięć godzin. Pułap chmur był niewysoki, więc największe wzniesienie naszego samolotu nie rzekraczało granicy 2000 metrów. Podobno chodzi tylko o to, ażeby znajdować się nad chmurami, co zapewnia lot gładki jak po asfalcie. Noc, choć bezksiężycowa, wydawała się dosyć jasna, tym bardziej, że całą północną połać widnokręgu okalała wąska, pomarańczowa smuga, może zorza północna?

Słońce zachodziło dopiero o 10 wieczór. Zapalały się pierwsze gwiazdy. Pod sobą mieliśmy widmową tarczę śnieżnych usypisk i wykrotów. Tak chyba musi wyglądać krajobraz polarny.

Z rur wydechowych umieszczonych przy skrzydłach samolotu raz po raz wystrzeliwały race płomieni. Wszystko to działo się jak gdyby w śmiertelnym napięciu i grozie. Było piękne, lecz surowe.

Syczałem z wściekłości, przypominając sobie komedyjkę odegraną przez stewarda w momencie nadlatywania na ocean. Chodziło o demonstrowanie obchodzenia się z żółtymi kamizelkami: wiązać tak a tak, a potem dmuchać i zapobiegać palcem uchodzeniu powietrza.

Nic nie może zakłócać jednostajnego warczenia motorów, które, jeżeli grają równo — koją jak milczenie. Chwilami któryś z silników zdawał się nacichać. Winę zwaliłem na młodego irlandzkiego księdza, który przysiadał się od pasażera do pasażera i mówił bardzo głośno.

Albo megafony! Angielski w ich urywanym, jazgotliwym wydaniu jest po prostu szczekaniem. — Psychologia trzasku — notowałem w dzienniku.

Nie mogąc w żaden sposób pogodzić się z sytuacją, na łup której zostałem wydany, nacisnąłem guzik przy poręczy fotela i zająłem pozycję poziomą. Zasypiając wolałem myśleć o żelaznym ramieniu Pana Boga niż o żółtej kamizelce i gumowych balijkach.

W Gander był maj. Od nowowzniesionych baraków lotniska szedł bardzo mocny zapach żywicy, liście osypujące gałęzie chyba dziś po raz pierwszy ujrzały światło dnia. Ponieważ nie posiadaliśmy świadectw szczepienia ospy, poddano nas szczepieniu ponownemu. O dziwo: przyjęło się! Potem jeszcze skrawek oceanu i ląd. Lecimy wzdłuż Zatoki Św. Wawrzyńca. Niesymetryczna, szeroko rozlana kałuża bladoniebieskiej zatoki, setkami mil lasy z kroplami jezior, prostokątne poręby, trakty nie zbaczające o milimetr od linii prostej, a gdy obniżamy lot — pojedyncze budynki na polanach. Wreszcie miasto - wyspa, w widłach św. Wawrzyńca i rzeki Ottawy. Porosła borem góra, na której szczycie opalizuje jezioro, przęsła dwu mostów zawieszonych nad rzeką i tonące w słońcu lotnisko. O godzinie 11 czasu kanadyjskiego, o 16 naszego, czyli w 34 godziny od chwili opuszczenia Okęcia — lądujemy w Montrealu.

d. c. n.

Mikołaj Rostworowski

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 6 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-80-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5
Zam. nr 1651
B-6-17950

STANISŁAW ŻYGLICH

BALLADA O KRÓLU CHARLIE

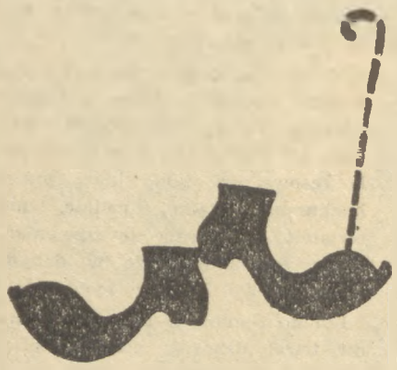

WSPOMNIENIA LIRYCZNE

TO nie było wtedy — jak pisał Tuwim — kiedy kino nazywało się bioskop albo iluzjon. To było już chyba o ćwierćwiecze później. Na kino mówiło się kinematograf. Miałem wówczas połowę swoich dzisiejszych lat i przeżywałem pierwszy, sztubacki zryw miłości do X Muzy. Utożsamiałem wtedy Dziesiątą Muzę z blaknącą urodą Liliany Gish, z uwodzicielskimi spojrzeniami Poli Negri, czy wampowatym wdziękiem Marleny Dietrich. Śniła mi się po nocach mądra uroda Grety Garbo, strzeliste nogi Claudette Colbert czy rozpaczliwie nęcące usta Joan Crawford. Redukując swoje marzenia i zachwyty skłonny byłem cząstkę sympatii ofiarowywać Smosarskiej, Marii Bogdzie czy Malickiej. Poważnie — ze względu na wiek — brałem w rachubę małżeństwo z Shirley Temple. Moje siostry przechowywały w panieńskich skrytkach fotki, a w marzeniach twarze Rudolfa Valentino, Frederica March, Clarcka Gable i innych. Jeśli idzie o mężczyzn mnie stanowczo bardziej odpowiadały zdecydowanie szorpate, nieulizane typy jak Spencer Tracy, Wallace Berry czy nawet Charles Laughton. W cichości ducha podziwiałem jednak Toma Mixa, Kena Meynarda czy nawet Johna Weismüllera w roli Tarzana.

Dziś, gdy Tarzan jest podtatusiałym tłuściochem z pokaźnym brzuszkiem, gdy rozkoszne bobo, Shirley Temple, wyrosła na bujną blondynę, a mądrze piękna Greta Garbo, jako starzejąca się pani, ze zdziwieniem przyjmuje spóźnione nagrody — wspominam tamten szał kinomanii z rozczuleniem i pewnym rodzajem zawstydzenia.

Z rozczuleniem, bo było w tym opętaniu srebrną magią coś z przeczucia doznań, które może dać film, jako odrębny i nowy rodzaj sztuki.

Z zawstydzeniem, bo w tej gonitwie za radością obrazu, ożywającego na zwykłym kawałku białego płótna, gubiło się nieraz istotny sens spotkań ze sztuką, przeoczało się istotne wartości, myliło się proporcje wydarzeń artystycznych. Nogi Claudette Colbert przesłaniały nieraz głęboki uśmiech smutnego Sachy Guitry, strzały Toma Mixa zagłuszały cichy głos Spencera Tracy, bicepsy Weismüllera były silniejsze od wiotkiej sylwetki Możuchina.

Z największym zawstydzeniem i smutkiem odnotowuję we wspomnieniu to, że przegapiłem spotkanie z małym, pozornie tylko śmiesznym, człowieczkiem w meloniku, z laseczką, w rozczłapanych butach, który kaczym krokiem szedł zdecydowanie ku wielkim osiągnięciom sztuki filmowej.

Tak, w swoich kinomańskich, sztubacko gorączkowych flirtach z z Dziesiątą Muzą przeoczyłem wielkiego artystę, rozminąłem się z Charlie Chaplinem. Po dziś dzień nie mogę sobie tego wybaczyć. Przesłonili mi go inni, prymitywniej działający komicy. Ryczałem ze śmiechu na filmach Flipa i Flapa czy Pata i Patachona, zrywałem boki patrząc na błaznowatego okularnika Harold Lloyda, dostawałem kolek widząc perypetie clowna o kamiennej twarzy Buster Keatona, ba, chichotałem przy Sielańskim, Lopku czy Orwidzie. A mały człowieczek w meloniku, z laseczka, w rozczłapanych butach szedł kaczkowatym, niezdarnym, genialnym kroczkiem ku wielkiej sztuce filmowej i podnosząc brwi do góry, tak że niemal dotykały figlarnych loczków, poruszał jak chomik czarnym wąsikiem, tłumacząc na migi sens sztuki filmowej w sposób dla wszystkich chyba zrozumiały i oczywisty.

I żebym go nie widział! Ale nie! widziałem. Czy to w kinematografie Miejskim (tam, gdzie teraz przebiega trasa W-Z), czy w jakimś „Bisie" gdzieś na Elektoralnej (bilet na dwa filmy kosztował 54 grosze, a właściciel kina dodawał „extra" torebkę pestek lub kleiste ciągutki), oglądałem — głupi, niewidzący sztubak — i „Dzisiejsze czasy", i „Światła wielkiego miasta".

2 WNIOSKI KONIECZNE

TU najwyższy czas, aby w te samokrytyczne wspominki włączył się rozsądek lub wkroczył z czerwonym ołówkiem redaktor. O co chodzi? O gorzkie żale kinomana? Kogo to obchodzi? Słusznie. Dajmy temu spokój. Pośpieszmy z wnioskami, które się przydadzą do jakiegoś uogólnienia publicystycznego. Bez tych wniosków artykuł ponoć jak kawa bez cukru. Są co prawda tacy, którzy twierdzą, że cukier odkawia kawę, ale to chyba zblazowani smakosze. Przeto pośpieszmy ku wnioskom, które — jak to się mówi — narzucają się siłą rzeczy.

Wniosek pierwszy: król filmu, Charlie Chaplin, jest w Polsce wielkością prawie nieznaną. Tu czerwony ołówek redaktora stuka znacząco i ostrzegawczo, więc konieczne jest szybkie uzupełnienie. Tak, słyszeli o nim chyba wszyscy, popularny jest bardzo, zwłaszcza po opuszczeniu Ameryki, przeniesieniu się do Europy, zwłaszcza po otrzymaniu Nagrody Pokoju popularność jego nabrała ciepłego, serdecznego zabarwienia — ale w dalszym ciągu pozostaje prawdą, że Charie Chaplin jest wielkością nieznaną. Bo znać króla Charlie, to widzieć, to przeżywać go przez dostrzeganie na ekranie. A kto u nas ogląda Charlie Chaplina? Tylko nieliczni wtajemniczeni lub uprzywilejowani, tzn. niczeni lub uprzywilejowani, tzw. działacze kulturalni.

Reszta ogląda zamazane w swej pamięciu wspomnienia o Chaplinie. Im starsi, tym więcej mogą pamiętać, ale też im starsi — tym więcej muszą zapominać. Ci młodsi, którzy dzisiaj już przekroczyli Rubikon trzydziestki, mogą świeższe obrazy wydobywać ze wspomnień, ale u nich — jak właśnie zdarzyło się ze mną — obrazy te mogły się zagubić w bezselekcyjnym chaosie sztubackiego widzenia. A ogromna reszta — nie widziała nigdy na ekranie pozornie śmiesznego człowieczka w meloniku, z laseczką, w rozczłapanych butach. Tak, wielkość Charlie Chaplina jest u nas wielkością nieznaną.

Stąd wniosek drugi, prosty jak drut: musimy poznać wielkość króla Charlie. A poznać to znaczy w tym wypadku — zobaczyć. Zobaczyć w „Dzisiejszych czasach", w „Światłach wielkiego miasta", w „Światłach sceny", w „Panu Verdoux", w „Dyktatorze", czy w początkowych „keystonach" lub „Go-

Chaplin w „cywilu"

rączce złota", „Cyrku", „Brzdącu" lub „Pielgrzymie". Zobaczyć go przynajmniej w kilku spośród tych filmów. Gdy wiatry przychylnych losów wyrzuciły moją nie łódź, lecz łupinkę publicystyczną na szersze wody tzw. życia kulturalnego, udało mi się — omijając rozliczne Scylle i Charybdy elitarnych zakazów — obejrzeć własnymi oczyma kilka filmów chaplinowskich, kilkanaście początkowych „keystonów" z lat 1914 — 1916. I od tego czasu przyłączyłem się do orszaku wołających: *vive le roi Charlie!* Chcemy oglądać wielkiego artystę, chcemy poznawać jego twórczość, która jest u nas popularna, lecz nieznana.

Stąd wniosek trzeci, jak z łuku strzelił: oczekując filmów Chaplina uczmy się historii króla Charlie. Z braku laku dobry i opłatek. Zanim go poznamy żywego (podobno ma przyjechać do Polski?), zanim ujrzymy go powtórnie w jego zwielokrotnionym taśma celuloidową życiu wielkiego artysty, pochylmy się nad historią jego walk i osiągnięć, klęsk i triumfalnych zwycięstw.

3. HISTORIA KRÓLA CHARLIE

O stworzenie takiej historii pokusił się znany nam jako krytyk filmowy „Les lettres françaises" i autor obszernej monografii filmowej, Georges Sadoul. Napisał dzieło „Vie de Charlot". Dotarło ono do mnie w przekładzie niemieckim (Peter Loos) wydawnictwa wiedeńskiego „Globus" pod tytułem: „Das ist Chaplin! (Sein Leben — seine Filme — seine Zeit)". Podobno (jak informuje polski „Projekt tytułowego planu wydawniczego na rok 1955") otrzymamy przekład tej książki w ciągu kilku najbliższych miesięcy. To świetnie. Bardzo się przyda. Zwłaszcza, że jest napisana zarówno gruntownie jak i lekko, łączy cechy solidnej monografii z zaletami wdzięcznego eseju.

Chociaż otrzymamy tę książkę w całości, posłuchajmy dzisiaj skrótowej opowieści o trudnej drodze artysty, opowieści, która jest czymś w rodzaju ballady o Królu Charlie.

Urodził się — jak słusznie stwierdza Georges Sadoul — dwa razy. Po raz pierwszy, jako młodszy syn ubogich rodziców, zamieszkujących nędzny domek przy Kennington Road 287, przyszedł na świat 16 kwietnia 1889 roku. Po raz drugi, jako pozornie śmieszny człowieczek w meloniku, z laseczką, w rozczłapanych butach, objawił się światu 28 lutego 1914 roku, gdy wyświetlano jego pierwszy film („Between showers" — przygotowany w początkach lutego w ciągu kilku zaledwie godzin).

To ćwierćwiecze, które upłynęło między jednymi i drugimi narodzinami, nie było sielanką pogodnego dzieciństwa i łatwej młodości. Wypełniła je trudna praca. Poczęty z miłości, lecz zrodzony w nędzy, młody Charles Spencer Chaplin (bo tak brzmi jego pełne imię i nazwisko) już jako dzieciak zaczynał zarabiać na chleb. Bodajże już w roku 1895, a więc mając zaledwie sześć lat, debiutował na scenie Varieté Aldershot piosenką „Jack Jones". Potem włączono go do trupy cyrkowej „Eight Lancashire Lads". Śmierć ojca (chyba w roku 1894) i ciężka choroba matki (od 1896-97) skazuje młodego Charliego i jego starszego brata Sidneya na dwuletni pobyt w sierocińcu Hanwell Residential School.

Po wyzdrowieniu matki warunki niewiele się poprawiają. Młody Charlie próbuje różnych zawodów. Przez pewien czas jest nawet praktykantem fryzjerskim. Wraca jednak do występów w varieté. W 1900 roku, a więc jako jedenastoletni chłopak, ma już pierwsze engagement na półtora roku. Gra m. in. rolę grooma Billego w udramatyzowanym „Sherlocku Holmesie" Conan Doyle'a. Jednocześnie uczy się. I w szkole, i na scenie. W 1907 lub 1908 angażuje go — na prośbę brata Sidneya, który uchodził za większy talent — wielki przedsiębiorca teatralny Fred Karno, Charlie należy do jego trupy „Londons Comedians" ukazując swoje możliwości aktorskie w wielu popularnych pantominach. Razem z trupą Karno jedzie w 1910 roku do Paryża, gdzie występuje w „Olimpii", w „Folies Bergères" i w „La Cigale". W roku 1911 jedzie razem z trupą Karno na sześciomiesięczne tournee po Stanach Zjednoczonych. Wybija się coraz bardziej. Gdy w 1912 roku powtarza tournee po Ameryce, Chaplin zwraca już na siebie powszechną uwagę — zwłaszcza w roli pijanego z pantominy „Noc w londyńskim klubie". W listopadzie 1913 roku angażuje go wytwórnia filmów Keystona. Umowa zostaje zawarta na rok 1914. Chaplin ma otrzymywać 150 dolarów tygodniowo. Już w styczniu 1914 Henry Pathe-Lehrmann realizuje z nim pierwszy jego film „Making a Living". W tym samym miesiącu Lehrmann kręci z Chaplinem drugi film („Kid Auto Races at Venice"), w którym Charlie występuje już w swoim, znanym dziś na całym świecie, kostiumie, ale jeszcze bez giętkiej bambusowej laseczki. Wymachiwać nią począł w następnym filmie, który uznany jest za jego oficjalne narodziny: w „Between Showers". W kwietniu tegoż roku debiutuje Chaplin jako reżyser i scenarzysta swoich filmów, by nie zrezygnować z tej roli już nigdy. Rok pracy u Keystona zakończył bilansem 35 filmów. Oczywiście, były to krótkie filmki, ale prowadziły do długiej i zwycięskiej drogi wielkiego artysty. Pod koniec roku 1914 zawarła z nim umowę na rok 1915 wytwórnia Essanay. Honorarium tygodniowe ustalono na 1250 dolarów. Nawet w dolarach rosła cena talentu Chaplina.

4. KRÓL CHARLIE PODBIJA ŚWIAT

Nawet w dolarach, którymi wymierzano gażę wielkiego artysty, dostrzec można obiektywną przemianę sądów o Chaplinie. Z niedostrzeganego początkowo statysty stał się złotą żyłą dla producentów filmowych. Wyrywano go sobie z rąk, dokonywano przetargów, jak gdyby był rzeczą.

Ale król Charlie nie czuł się tylko przedmiotem licytacji. Już zaczynał wiedzieć czego chce od siebie i od sztuki. Zaczynał dyktować warunki, w których — pozostając artystą — mógłby być wierny sobie i swojej sztuce. Firma Essanay stała się dla niego zbyt ciasnym forum, nacisk komercyjny przeszkadzał Charliemu w realizowaniu ambitnych planów. Artysta coraz dalej odchodził od komedii gagów, od dowcipów z kremowymi tortami, rzucanymi w twarze partnerów. Szukał siebie w coraz głębiej traktowanej satyrze filmowej. Toteż gdy minął rok 1915, nie odnawia kontraktu z firma Essanay. I tak wyeksploatowała z niego ta firma czternaście filmów. W tej filmowej arlekinadzie przebłyskiwało już ostre (jak np. w parodii „Carmen") lśnienie satyry. Chaplin postanowił wybrać z oferowanych mu warunków takie, które będą najbardziej sprzyjały pogłębionej, już w jego rozumieniu służbie sztuce filmowej.

Firma Mutual zaproponowała mu kontrakt roczny z wynagrodzeniem 10.000 dolarów tygodniowo i jednorazową premią 150.000 dolarów przy podpisaniu umowy. A więc 670.000 dolarów. Bajońska suma. Na to firma Essanay zareagowała propozycją z 500.000 dolarów dochodu i udziałem w zyskach. Chaplin wybrał jednak pierwszą ofertę, ponieważ wytwórnia Mutual gwarantowała mu całkowitą swobodę działania artystycznego, oddając do jego dyspozycji specjalne studio filmowe Lone-Star. Inni producenci prorokowali plajtę, lecz okazało się, że firma Mutual miała nosa. Dwanaście filmów, które w ciągu osiemnastu miesięcy stworzył w ramach tej umowy król Charlie, kilkakrotnie powiększyło dochody firmy. W ciągu pięciu lat zarobiła ona na tych filmach 25.000.000 dolarów.

Nie jesteśmy buchalterami. Nie chodzi nam w tej chwili o bilansowanie krociowych interesów, jakie robiono na filmach Chaplina, nie chodzi także o ukazywanie drogi, na której sam Chaplin zdobywał fortunę milionera. Interesuje nas przede wszystkim droga, którą szedł ku coraz większym osiągnięciom sztuki filmowej, pozornie śmieszny człowieczek w meloniku, z laseczką, w rozczłapanych butach. Była to droga do podboju świata, droga jednego z najniezwyklejszych podbojów, jakie zna historia.

Już w 1915 i 1916 była to droga wszechświatowej sławy. Już czterdzieści lat temu Louis Dellue pisał, że Chaplin „jest najsławniejszym człowiekiem świata. Zaćmił nawet sławę Dziewicy Orleańskiej, Ludwika XVI i Clemenceau". W każdym razie jest prawdą, że sprzedawano z jego podobizną wszystko niemal, co dało się nią ozdobić. Bezczelny plagiator, niejaki Billie Richtie, zapoczątkował serię różnych Chaplinów występujących na dziesiątkach scen. Sława Chaplina rosła wśród tzw. szarych widzów kinowych, ale i wielkie indywidualności należały do grona jego wielbicieli: Picasso, Apollinaire, Max Jacob, Fernand Leger, Louis Aragon — jak wylicza Georges Sadoul — nie opuszczali ani jednego niemal filmu Chaplina.

W filmach tych coraz mniej kremowych tortów i coraz mniej arlekinowej akrobatyki. Chaplin skupia się w sobie, pogłębia i poszerza jednocześnie swoje widzenie spraw człowieka. Jego bohaterem jest zawsze ktoś ubogi, skrzywdzony lub podeptany przez innych, bezrobotny, wagabunda, cyrkowiec, żołnierz, smutny komik, pielgrzym — są to symbole jego pochylenia się nad ludzką niedolą i ludzką krzywdą.

W ciągle rosnącej liczbie filmów (rok 1917 bilansował ich już 67!) przeważają takie, których sens społeczny zawsze da się sprowadzić do protestu przeciwko niesprawiedliwości, przeciwko krzywdzie ludzkiej. Na „Easy Street" (styczeń 1917 roku) kończy się okres beztroskiej pantominy, a zaczyna się okres ostrej satyry społecznej. Poprzez „Emigranta", „Więźnia", „Żołnierza" i „Pasterza" wiedzie szlak ku coraz dojrzalszym, coraz głębszym w swej ideowej wymowie utworom. Król Charlie staje się ciągle groźniejszy dla królów stali, królów cygar i królów maszynek do mielenia mięsa. Występuje przeciwko „psiemu życiu". Jest królem, który proklamuje detronizację wyzysku i chciwości.

5. KRÓL CHARLIE PROKLAMUJE WOLNOŚĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNĄ

Chaplin, zdobywając coraz większą sławę, bogacąc swój talent i doświadczenie, powiększając majątek i utrwalając gwarancje swojej niezależności finansowej, chociaż ciągle kokietują go wielkie wytwórnie, chociaż przedsiębiorcy zapraszają go do United Artists, chociaż z drugiej strony szantażują go groźbą publicznych skandalów i dają poznać gorycz zorganizowanych nagonek — ciągle staje się coraz bardziej sobą, coraz głębiej świadomym swoich środków, swoich celów i swojej odpowiedzialności artystą.

Każdy niemal rok przynosi nowy sukces, nowy film, nową rolę. W 1921 roku wchodzi na ekrany „The Kid" z rewelacyjnym wówczas Jackie Cooganem. W 1922 r. Chaplin odbywa triumfalną podróż po Europie. Wspomnienia z tej podróży („My Trip Abroad") odkupuje od niego agencja prasowa za 250.000 dolarów i wydaje w książce. Nowe filmy: „Pay Day" i „Pilgrim" (1923), a potem „A Woman of Paris" podbijają świat. W 1924 roku triumfy święci „Gorączka złota". Chaplin pracuje już nad nowym filmem, nad „Cyrkiem". Ideowa wymowa tych filmów coraz mniej podoba się bankierom i ich wasalom.

Obok triumfalnych pochodów Chaplin przeżywa bolesne chwile osaczenia. Kąsają go jak mogą. Urząd Skarbowy nakłada na niego w roku 1926 domiar podatkowy w wysokości 1.350.000 dolarów. W roku 1927 prasa rozdmuchuje do wymiarów skandalu sprawę jego nieudanego małżeństwa z Litą Grey. Sąd skazuje Chaplina na 1 milion dolarów odszkodowania. Jednocześnie klika recenzencka dezawuuje artystyczną wartość jego filmów. Chociaż załamany i goryczy pełen, Chaplin podejmuje jednak prace nad „Światłami wielkiego miasta" („City Lights").

Z napięciem oczekuje reakcji Europy na „Cyrk". Podróż po Europie, którą podejmuje z tej okazji, zmienia się w nowy pochód triumfalny. Niekoronowany król odbiera hołdy w Londynie, Berlinie, Wiedniu, Paryżu i Wenecji. Jak się okazuje — wbrew knowaniom i nagonkom niezadowolonych finansistów — widzowie pozostają wierni pozornie śmiesznemu człowieczkowi w meloniku, z laseczką, w rozczłapanych butach, który kaczkowatym, pokracznym kroczkiem postanowił iść nieugięcie drogą sztuki, służącej sprawie prostych, krzywdzonych przez wyzysk ludzi.

Wzmocniony triumfalnym pochodem przez Europę i sukcesem „Świateł wielkiego miasta", które święciły swoją premierę 6 lutego 1931 roku, podejmuje Chaplin — po powrocie z Japonii i Indii, gdzie bawił w maju 1932 roku — pracę nad scenariuszem „Dzisiejszych czasów". W 1933 i 1934 swoją pracę realizuje. W 1935 roku jesienią Chaplin zaprasza przedstawicieli prasy na wizytację ostatnich zdjęć do tego filmu. W następnym roku (5 lutego 1936) premiera „Dzisiejszych czasów" jest wielkim przeżyciem dla całego świata i to nie tylko świata filmowego. Dla świata finansjery jest nowym wyzwaniem i nową obrazą. Dla samego Chaplina — nowym triumfem i próbą utrzymania się przy filmie niemym.

Po „Dzisiejszych czasach" nadchodzi czas „Dyktatora". Już w 1938 zaczyna Chaplin pisać scenariusz tego filmu. Nie jest to tylko zbieg okoliczności, że film ten rodzi się w przededniu drugiej wojny światowej, tak jak nie było zbiegiem okoliczności, że „City Leights" i „Modern Times" powstały przed i w okresie trwania wielkiego kryzysu. Jest to po prostu reakcja sumienia wielkiego artysty na wielkie zbrodnie w historii kapitalistycznego świata. Filmy jego są protestem i wezwaniem do walki, król Charlie proklamuje w dostępny sobie sposób wolność i sprawiedliwość społeczną. I nic też nie ma z przypadku w tym, że przeciwko tak pojętej działalności artystycznej podnoszą się znowu sprzeciwy zaniepokojonych organizatorów zbrodni. Faszystowski konsul niemiecki w Nowym Jorku Georg Gyssling i ambasador Hitlera w Waszyngtonie Dieckhoff zagrozili amerykańskim producentom totalnym bojkotem ich filmów w Trzeciej Rzeszy, jeśli Chaplin w „Dyktatorze" zaatakuje autorytet narodowego socjalizmu. Prasa Haersta podjęła zadanie wywarcia nacisku na Chaplina. Wybuch wojny w roku 1939 zaostrzył sytuację. Chaplin podjął jednak kontynuację prac nad swoim nowym filmem. I chociaż atakował go przedstawiciel komisji do badania podejrzanej działalności, prekursor maccarthyzmu, niejaki Dies, dnia 15 października 1940 „Dyktator" ukazuje się po raz pierwszy na ekranie. Znowu zaczyna się nagonka antychaplinowska. Znowu próby wywołania skandalów, szkalowanie przez sprzedajną prasę Haersta. Gdy w 1941 roku Chaplin przemawia w San Francisco za utworzeniem Komitetu pomocy dla Związku Radzieckiego, a w 1942 przesyła telefonicznie apel o utworzenie drugiego frontu, nagonka przybiera na sile. Incydent osobisty z niejaką Joan Barry wykorzystany zostaje dla odsądzania Chaplina od czci i wiary. Małżeństwo z Ooną O'Neill (zawarte w roku 1943) daje okazję do rozpętania skandalu wokół prywatnego życia twórcy „Dyktatora". Chaplin — chociaż przygnębiony tym wszystkim — podejmuje prace nad „Panem Verdoux". Mimo wzrastającej liczby procesów sądowych i ataków prasy, w roku 1947 „Pan Verdoux" ukazuje się na ekranie. Komitet do badania działalności antyamerykańskiej wzywa znowu Chaplina jako oskarżonego, przeciwko któremu zeznają m. in. Adolf Menjou, Gary Cooper, Walt Disney i Robert Taylor. W grudniu 1947 Chaplin na łamach angielskiego pisma „Reynold News" publikuje artykuł pod znamiennym tytułem: „Wypowiadam wojną Hollywoodowi". Nie potrzebuje długo czekać na odpowiedź. Główny szczekacz koncernu prasowego Hearsta pan Westbrook Pegler protestuje przeciwko „mieszaniu się zbakierowanego moralnie cudzoziemca Chaplina w sprawy amerykańskie". Senator Cain żąda deportacji króla Charlie. Hollywood wzmacnia produkcję filmów antypostępowych. Sąd skazuje Chaplina w sprawie z Joan Barry na ogromne sumy odszkodowania z wykluczeniem możliwości apelacyjnych. Ale jednocześnie „Zjednoczenie francuskich krytyków filmowych" proponuje w r. 1948 przyznanie Chaplinowi nagrody Nobla. Chaplin — po „Panu Verdoux" zaczyna w r. 1951 pracę nad „Światłami sceny". Deklaruje się jako obrońca pokoju. Dalszy ciąg tej walki artysty o godność człowieka i godność sztuki filmowej znamy ze świeżych wspomnień, z doniesień prasy. Zabrakło w Ameryce miejsca dla niego. Przyjęła go radośnie zawsze wierna mu Europa. Premiera „Świateł sceny" (Limelight), która miała miejsce w Londynie 16 października 1952 roku, stała się nowym wielkim świętem, wyrażającym podziw naszego kontynentu dla Chaplina. Przeszło rok temu, 27 maja 1954, przyznano mu najwyższą chyba nagrodę, Międzynarodową Nagrodę Pokoju.

Chaplin — dziś już 66-letni starszy pan — nie spoczął na laurach. Ostatnio prasa donosi, że Charlie skończył opracowywanie scenariusza do nowego filmu, którego tytuł ma brzmieć „Dobry król". Prace związane z realizacją scenariusza podobno rozpoczną się na jesieni bieżącego roku. Główną rolę w „Dobrym królu" ma kreować sam Charlie. A więc dojrzewa jeszcze jedno dzieło wielkiego artysty, na pewno nie ostatnie.

...w „Dzisiejszych czasach"

...jako Calvero w „Światłach sceny"

Charlie z małym Jackie Cooganem w filmie „Kid"

...w „Światłach wielkiego miasta" Charlie, jakiego zna cały świat

Charlie jako Adenoid Hynkel w filmie „Dyktator"